Nr. LXVII Styczeń 1939

NASZA PRZYSZŁOŚĆ

WYDAWCA I REDAKTOR: Dr. JAN BOBRZYŃSKI
ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, ŻÓRAWIA 11 m. 8, TELEFON 927-61

Nr. LXVII Styczeń 1939

NASZA PRZYSZŁOŚĆ

WYDAWCA I REDAKTOR: Dr. JAN BOBRZYŃSKI
ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, ŻÓRAWIA 11 m. 8, TELEFON 9.27-61

Druk. „Lech", Warszawa, Koszykowa 33. Tel. 8.90-66.

TREŚĆ:

Uproszczony ustrój Państwa Polskiego

W październikowym zeszycie naszego wydawnictwa ub. r. zamieściliśmy wytyczne t. zw. uproszczonego ustroju w pierwotnej formie. W ostatnim zeszycie, grudniowym, ogłosiliśmy krótki wyciąg zasadniczych tez tego elaboratu. Obecnie, skoro ważność i wzrastająca aktualność tego projektu — choćby na dalszą metę — nasuwa nam się coraz wyraźniej na podstawie odbytych od tego czasu konferencyj i rozważań w związku z całokształtem sytuacji krajowej, podajemy niniejszem ten sam materjał, jako instrument dalszej inicjatywy i propagandy, w dokładniej wyargumentowanej postaci.

W czasie tych prac naszych wyłaniało się z początku całkiem naturalne pytanie, czy ogłaszanie i propagowanie już teraz tak głęboko sięgającego projektu ustrojowego nie jest może przedwczesnem? Czy nie odczekać jakiegoś specjalnie odpowiedniego momentu w przyszłości?

Doszliśmy jednak wnet do przekonania, że takie stawianie sprawy byłoby właściwem w jakiejś partji politycznej, żyjącej wyłącznie bieżącą konjunkturą, ale nie dla zrzeszenia, poświęconego specjalnie „myśli państwowej", którego zadaniem i obowiązkiem jest właśnie myśleć i planować na nieco dłuższą metę naprzód i zawczasu pewne idee i koncepcje gruntować w opinji publicznej.

Nadto, wykończywszy projekt, spostrzegliśmy, że stanowi on zarazem wszechstronny, skończony pod każdym względem program Związku Polskiej Myśli Państwowej, którego dotąd w tak skonkretyzowanem opracowaniu Związek nasz jeszcze nie posiadał. Tembardziej więc uznaliśmy za wskazane zamieścić go w powtórnem, poprawionem wydaniu na tych łamach i w dalszym ciągu z odpowiednią konsekwencją propagować.

A ważną rolę gra w tem także i ten moment, że obowiązująca obecnie Konstytucja została uchwalona wyraźnie jako przejścio-

wa, co zaznaczył nawet swego czasu jej generalny referent w Senacie. Wiadomo dalej powszechnie, że i obecna ordynacja wyborcza ma przejść zmiany. Wiadomo wreszcie, że ważą się i zmagają w Polsce różne potężne prądy, które głoszą dążenia nawet do „gruntownych" zmian ustroju politycznego i gospodarczego.

Reasumując więc wszystkie powyższe momenty, stwierdzamy, że chwila do głoszenia takiego projektu, jakim jest nasz niniejszy, nietylko nie jest przedwczesną, ale wręcz stosowną, jeżeli pewne zasadnicze koncepcje mają się w społeczeństwie stopniowo ugruntować.

Przypadek zdarzył, że projekt nasz, ogłoszony w pierwszem wydaniu — jak zwykle — samorzutnie, spotkał się z bardzo życzliwem i pełnem zrozumienia uznaniem w organizacji Narodowych Monarchistów, założonej przed dwoma laty w Warszawie i mającej już liczne placówki na prowincji. Wprawdzie ani „Nasza Przyszłość", ani Zw. Polskiej Myśli Państwowej monarchizmu bezpośrednio nie propagują, gdyż uważamy, że wychodziłoby to poza ustalone ramy naszej akcji, mającej od lat wyrobioną pewną specyficzną markę i charater. Chodzi nam o podstawowe normy ustroju na tle specjalnych polskich stosunków i warunków, a zagadnienie korony elekcyjnej lub dziedzicznej pozostawiamy innym zrzeszeniom i czynnikom.

W każdym jednak razie stwierdzamy już bez wahania, że wieloletnia obserwacja ewolucji naszych stosunków krajowych i jak najobjektywniejsze przemyślenie dotychczasowych rezultatów tej ewolucji doprowadziły nas drogą czysto indukcyjną, bez żadnego doktrynerstwa, ani premedytacji, do coraz głębszego przekonania, że realizacja idei Polski mocarstwowej — w danych konkretnych warunkach geopolitycznego położenia naszego państwa i narodu — nie będzie możliwą bez śmiałego nawrotu do norm monarchji konstytucyjnej, choćby na razie w postaci tylko symbolicznej korony i odpowiedniego ustroju regencyjnego. Nie zdziwiło nas więc, że projekt ten, o charakterze podstawowym, znalazł uznanie w Stronnictwie Narodowych Monarchistów i zbliżył ich do nas na platformie „współpracy uzupełniającej" t. j. takiej, że my sami poza obręb projektu i propagandy ustroju regencyjnego nie wychodzimy, a natomiast Narodowi Monarchiści, przyjmując nasz projekt za podstawę, poprowadzą z tej odskoczni swą właściwą propagandę monarchizmu, w którą my już bezpośrednio nie ingerujemy.

Porozumienie tego rodzaju, ściśle określone, o rozgraniczonych jak wyżej rolach, wyraziło się także i w pewnej współpracy niektórych monarchistów nad naszym projektem, która — całkiem poza kwestją monarchizmu — dostarczyła nam pewnych cennych korektyw w niektórych punktach niniejszego projektu. Jeżeli więc projekt ten jest w zasadzie naszem oryginalnem dziełem, to jednak w obecnej postaci może już być uważany jako wynik przedyskutowania i gdzie niegdzie poprawienia przez wspólną komisję porozumiewawczą.

Zaszczyceni pozatem z pewnych innych poważnych stron zapytaniem, czy nie zechcielibyśmy podjąć się wielce trudnego, a w dobie obecnej szczególnie aktualnego zadania naszkicowania przynajmniej głównych norm i wytycznych pewnego „całokształtu uproszczonego ustroju państwa", uznaliśmy za nasz obowiązek — leżący całkowicie w charakterze i celach naszej szkoły politycznej — podjęcie tej próby.

Podajemy więc niniejszem skonkretyzowany wynik naszej pracy i przemyślenia, ułożony na razie tylko w punktacjach zasadniczych, co uważamy za wystarczające dla wstępnej propagandy.

Celem wzmocnienia naszego elaboratu w oczach opinji publicznej, poddaliśmy go krytyce Komisji porozumiewawczej. Po uzgodnieniu tekstu przez tę Komisję i przez zarządy obu zrzeszeń ogłaszamy program niniejszy już jako rezultat zbiorowej pracy.

Zarząd Związku
Polskiej Myśli Państwowej.

Okres minionych właśnie dwudziestu lat Polski wskrzeszonej stanowi jakby krótką reasumcję wieluwiekowych doświadczeń Polski przedrozbiorowej. Z doświadczeń tych wypływa pewna nauka, której doktrynerskie teorje nowoczesne nie zasłonią i której nie wolno lekceważyć.

Wynika z niej, że państwo polskie było i jest tworem specjalnym, któremu zastrzyki lub naśladownictwo cudzoziemskich norm ustrojowych przynoszą z reguły nie twórczy postęp, lecz osłabienie. Państwo bowiem, jak nasze, na wszystkie strony eksponowane, umiejscowione w nader delikatnym punkcie kontaktu — i zderzeń — cywilizacji wschodniej z zachodnią i z natury swego położenia skazane na wielonarodowość, która jest

podstawowym warunkiem jego egzystencji, mocarstwowości i misji dziejowej, nie może bez szkody asymilować sobie jakichkolwiek postronnych form i doktryn, ale musi wyrobić sobie i utrwalić własne, całkiem odrębne a specyficzne formy.

Hasło postępu — w pospolitem tego słowa znaczeniu — nie może być u nas bezkrytycznie stosowane, gdyż praktyczne doświadczenie uczy, że wyrażenie to oznacza niemal w każdem państwie coś innego, zależnie od charakteru, realnych potrzeb i historycznego rozwoju danego społeczeństwa, a stosowane szablonowo w Polsce wywiera wpływ destrukcyjny i zmusza naród nasz co pewien czas do cofania się wstecz po pewnym okresie należycie nieprzemyślanych eksperymentów.

W takim właśnie punkcie cofnięcia się z konieczności i z braku dalszego programu wstecz o lat kilkanaście znajdujemy się znowu w tej chwili. Odskocznią był wówczas ustrój wielopartyjny, na zbyt szerokich, z zagranicy przejętych podstawach anarchicznej demokracji oparty. Przerodził się szybko w zgubną demagogję. Chcąc ją pokonać wpadliśmy w dwunastoletni okres przeciwnego eksperymentu o tendencjach napół totalistycznych, zaczerpniętych znowu z obcych wzorów. Nie udało się to, bo na naszym gruncie udać się nie mogło i dlatego wracamy znowu do wielopartyjnictwa, któremu naprózno usiłujemy nadać sztuczny charakter jakiejkolwiek „konsolidacji narodowej".

Tracimy drogi czas. Marnują się wielkie walory moralne i materjalne narodu, a nic pozytywnego wyniknąć z tego wszystkiego nie może, bo metodą eksperymentów i partyjnych lub personalnych rozgrywek nie zbuduje się w żadnym razie potęgi państwa, otoczonego zwłaszcza ze wszech stron otwartym frontem nieprzyjacielskim, który nam wyjście na szeroki świat zamyka.

Polska powersalska przyjęła bezkrytycznie republikański ustrój francuski — którego majowy zamach stanu w podstawach nie usunął — podszyty dość skrajną, modną zawsze we Francji demagogją społeczną, złą już dla Francji samej, a cóż dopiero dla kraju i społeczeństwa o przeciętnie niższej kulturze, z jego dość jeszcze prymitywną, z natury nieco anarchiczną i rozsadzającą psychiką słowiańską! Stąd po dwudziestu latach, mimo doświadczeń dawniejszej, tysiącletniej historji i tradycji narodowej, wciąż jeszcze trwa niepewność, ustrój „tymczasowy", wciąż poprawy konstytucji, rządu i parlamentu, wciąż niezmiernie

szkodliwa bezplanowość w systemie administracyjnym, gospodarczym i narodowościowym.

Wciąż zwłaszcza zupełnie bezproduktywne rozgrywki reżimowe, partyjne i osobiste, z których dlatego nic użytecznego i trwałego dla państwa wyniknąć nie może, gdyż na fałszywem podłożu żadna gra polityczna nie jest w stanie coś rozumnego stworzyć.

Faktem jest niezaprzeczalnym, że wprawdzie wiele wlano do tego polskiego kotła przez lat dwadzieścia wiedzy prawniczej i ekonomicznej, wiele atramentu i oficjalnego lub prywatnego czernidła drukarskiego, a różnobarwnym ogniem pod tym kotłem palono, ale na nic się to nie zdało, gdyż Polska — w słusznej opinji i świadomości ogółu — dotąd ani ostatecznego ustroju, ani skrystalizowanego oblicza, ani ustalonych torów polityki państwowej w najważniejszych dziedzinach nie posiada, zastępując to wszystko tymczasowemi, doraźnemi koncepcjami „ad interim", oraz niewyczerpaną w pomysłach a w istocie bezproduktywną grą polityczną. Bo u nas przedmiotem gry i rozgrywek jest wszystko i każdy polityk próbuje w tym sytemie swego szczęścia.

Stąd wynika jednak w nieuchronnej konsekwencji, że właściwie wszystkie sfery społeczeństwa są coraz bardziej niezadowolone, że ludzie co innego muszą nieraz mówić, a co innego myślą, że odłamki innych narodów, w granicach naszych zamieszkałe, nie są dla państwowości naszej wcale jeszcze pozyskane i to z winy demagogicznych ustaw antygospodarczych i wciąż zmiennej, jak wiatr, polityki mniejszościowej.

Faktem jest, że polski obywatel, rdzenny czy innoplemienny, nie wie, czego się trzymać, w jakim kierunku państwo zmierza i na co w niem można naprawdę liczyć? Faktem jest, przez dwadzieścia lat bezspornie już stwierdzonym, że bezkrytyczny etatyzm i fiskalizm, pochłaniając w coraz większym stopniu dochód i majątek społeczny, tamują dotkliwie — wśród powodzi szumnie patrjotycznych frazesów — nietylko gospodarczy, ale i społeczno-polityczny rozwój narodu i państwa. Ten najistotniejszy rezultat wszystkich rządów, koncepcji ustrojowych i wszelakich partyjnych programów — konsekwentne zubożenie obywatela — nie powinien być dłużej osłaniany „taktownem" milczeniem. Jest to bowiem sprawa ze wszech względów państwowych najważniejsza i zarazem najniebezpieczniejsza, o którą rozbić się muszą wszelkie nasze aspiracje mocarstwo-

we, a sprawa bezrobocia i powszechnego niezadowolenia przybrać może groźne rozmiary.

W gorączkowem lub uparcie doktrynerskiem poszukiwaniu sztucznych leków na wszystkie powyższe niedomagania, chorują różne nasze sfery polityczne na naśladownicze koncepcje totalistyczne lub półtotalistyczne, grożąc wciąż gruntowną przebudową ustroju społeczno-gospodarczego — co w naszych, polskich warunkach może oznaczać tylko bolszewizację stosunków pod różnemi pokrywkami, pragnąc jakgdyby pokryjomu (?!) przemycić do Polski to jakiś ustrój folksfrontowo-radykalny, to hitlerowsko-faszystowski, to nacjonalistyczno-korporacyjny, to wreszcie „kierowaną demokrację" na jakichś konsolidacyjnych zasadach pogodzenia skrajnych programów wielopartyjnictwa w tak czy inaczej pomyślanych ogólnych obozach narodowych. Nie brak i wyraźnych zakusów monopartyjnictwa, które nietyle chcą na serjo skonsolidować cały naród — bo o niemożności tego zamiaru na dotychczasowem podłożu zdają sobie chyba dobrze sprawę — ile przedewszystkiem zmonopolizować dla siebie rządy, ideje, przedstawicielstwo, młodzież, kulturę i wszelakie odruchy społeczeństwa, nawet wszelakie demonstracje patrjotyczne, przybierając sobie do tego jednak z zasady rzesze charakterów słabych, zastraszonych lub obojętnych na wszystko ludzi karjery, a eliminując z życia publicznego mocniejsze charakterem jednostki.

Nic dziwnego, że w takich warunkach żaden silny, dobrze skonkretyzowany, do specyficznych podstaw rozwoju Polski dostosowany i konsekwentnie planowy ustrój wytworzyć się nie może i nigdy nie wytworzy. Dochodzi do tego nadmierne zróżniczkowanie instytucji urzędowych, półurzędowych i samorządowych, iście polipowy przerost wszelakich resortów i komórek, między któremi każda sprawa, choćby najprostsza i najdrobniejsza, musi być na długiej drodze biurokratycznej uzgadniana, a częstokroć najlepsze, prawdziwie twórcze, postępowe projekty grzęzną beznadziejnie w braku przepisanego uzgodnienia.

A wszystkie te niedomagania i beznadziejne próby, przedłużające się z wielką szkodą dla państwa i tężyzny narodu, dadzą się łatwo sprowadzić do wspólnego mianownika: obchodzenia największej zapory, która leży w powszechnym braku odwagi cywilnej, uderzenia taranem w niewzruszony dotąd mur demagogji zasad ustrojowych, które pod wpływem anarchicznej

polskiej uczuciowości oraz niewątpliwie także obcych agentur zyskały moc nienaruszalnego fetysza może nietyle w mentalności naszego ogółu, ile przedewszystkiem w mentalności naszych sfer politycznych i partyjno-prasowych.

Ten stan rzeczy — ten ustrój „tymczasówki", chytrej gry politycznej, zmienności, chwiejności i demagogji — dłużej trwać nie może. A walna omyłka wszelkich prób konsolidacji i sanacji stosunków leży w tem, że mają się one dokonać w istocie dokoła pewnych grup czy osób, a więc na platformie personaljów. Ponieważ zaś indywidualistyczna nawskroś psychika polska nie zniesie na dłuższą metę kajdan żadnego rodzaju i każdy Polak, wychowany od wieków na prastarej wolności i równości obywatelskiej, uważa się za tak mądrego, jak drugi, więc też — poza użyciem chyba tylko gwałtu i presji, o chwilowej oczywiście tylko mocy działania — żadna próba konsolidacji o charakterze „personalistycznym" nie rokuje na serjo widoków powodzenia.

Niechże prawdę tę uświadomią sobie raz na zawsze wszystkie ambitne jednostki, którym się zdaje, że dokoła swej osoby i swego programu mogą naród polski skonsolidować.

Trwała i prawdziwa konsolidacja społeczeństwa polskiego może udać się tylko dokoła jakiegoś ustabilizowanego raz na zawsze ustroju, któryby — z pominięciem wszelkich doktryn, eksperymentów i ambicji osobistych — czerpał sam ze siebie moc atrakcyjną. Zarówno wszelkie warstwy narodu polskiego, jak i odłamy innych zamieszkujących państwo nasze narodów, mogą być przyciągnięte i sprzężone tylko odpowiednim dla naszych warunków, prostym, silnym, zdecydowanym i trwałym ustrojem, imponującym każdemu i dla każdego korzystnym, do którego przeto norm i wymagań całe społeczeństwo stopniowo się dostosuje.

A musi to być ustrój naturalny, rodzimy, zdolny realizować ideję jagiellońską, która, mimo wszelkiego wpływu doktryn i stosunków nowoczesnych, stanowi po dziś dzień jednak jeszcze najgłębsze psychiczne podłoże ludów na obszarze historycznym dawnej Rzeczypospolitej i zarazem ich wspólną, najistotniejszą racją stanu.

Projekt ustroju, odpowiadającego powyższym założeniom — a realizującego także niezbędny moment silnej władzy w państwie przy możliwem maximum swobód obywatelskich—mianujemy dlatego „uproszczonym", gdyż zmierza on także i do ogra-

niczenia i uproszczenia nadmiernego, zbyt skomplikowanego w Polsce przerostu aparatu administracyjnego i samorządowe- go oraz rozpanoszonych w nich biurokracji i niebezpiecznie progresywnego etatyzmu. Upraszcza projekt ten również i ca- łokształt naszych stosunków krajowych wogóle, przez to, że stwarzając silny a prosty aparat administracyjny i gospodarczy oraz przyciągając do służby politycznej w znacznie większym, niż dotąd, stopniu wyżej wykształcone sfery społeczeństwa i łącząc politykę i gospodarkę w pewną całość — która przecież organicznie istnieje — eliminuje z ustroju państwa doktryny demagogiczne i w znacznej mierze także wpływ obcych agentur. Wreszcie projekt nasz ma wszelkie cechy rdzennie polskie, gdyż odrzucając wszelkie naśladownictwo obcych haseł i wzorów, opiera się w zasadzie na ustroju Polski przedrozbiorowej, wy- kształconym przez wieki naszych dziejów, odpowiednio tylko modernizując go stosownie do nowoczesnych warunków.

A więc wykluczamy z jednej strony bezkrytyczną ideję ab- solutnej demokracji, opartą na zgoła błędnej doktrynie o rzekomej równości ludzi, a stąd i fałszu bezwzględnego ich równoupra- wnienia w decydowaniu o rządach i losach państwa — gdyż doktryna ta, nielogiczna już w samem swem założeniu, wyka- zała po dziś dzień także i w praktyce bezspornie swą szkodli- wość i przeżycie. Z drugiej zaś strony wykluczamy również wszelkie teorje i ustroje niewoli społecznej czy państwowej, ja- ko zrodzone wszystkie ostateczne z doktryny socjalistycznej.

Projektujemy następujące wytyczne tezy ustrojowe, nie wcho- dząc w tym ogólnym elaboracie w dalsze szczegóły i głębsze komentarze.

I. Uproszczenie i wzmocnienie najwyższych władz wyko- nawczych w przeciwieństwie do obecnego, zbytniego ich roz- parcelowania. Wysuwamy tę sprawę na czoło projektu, jako najbardziej zasadniczą. Zamiast kilkunastu resortów minister- jalnych z prezesem na czele, ustala się następujące ministerstwa z szerokim zakresem kompetencji:

1) Urząd kanclerski, oprócz zwierzchnictwa i faktycznej wła- dzy decydującej nad innymi resortami, łączy w sobie resort spraw zagranicznych oraz zastępstwo Głowy Państwa w razie jej nieobecności w kraju lub wakansu.

2) Sekretarjat stanu dla Sił Zbrojnych, na którego czele stoi pod względem uzbrojenia oraz administracyjno-aprowizacyjnym Sekretarz stanu, a pod względem komendy armji Marszałek Polski, mający pod tym względem wyższe stanowisko od sekretarza stanu i pierwsze miejsce w Radzie Ministrów po Kanclerzu.

3) Sekretarjat stanu dla wyznań, sprawiedliwości i wychowania publicznego, kumulujący więc w sobie te resorty, które w ogólnem znaczeniu mają charakter społeczno-edukacyjny.

4) Sekretarjat stanu dla Gospodarstwa Narodowego, obejmujący skarb, przemysł i handel, rolnictwo, roboty publiczne i komunikacje.

5) Sekretarjat stanu dla Spraw Wewnętrznych, obejmujący wszystkie inne resorty wewnętrzno-państwowe.

W obrębie każdego z powyższych Ministerstw istnieją dla poszczególnych kompleksów spraw Podsekretarjaty stanu. W ten sposób uzgadnianie ważnych i pilnych spraw między nielicznymi Sekretarzami stanu pod zwierzchnią dyrektywą i odpowiedzialnością Kanclerza, będzie mogło odbywać się szybko i sprawnie, a Podsekretarjaty stanu będą miały rolę tylko wykonawczą.

Podział ten odpowiedzialnych władz naczelnych, dostosowany do nowoczesnego postulatu silnego rządu, jest zarazem zbliżony i do staropolskiego, gdyż poza urzędem Kanclerza, odpowiada Marszałek Polski dawnemu Hetmanowi Wielkiemu, Sekretarz Stanu dla gospodarki narodowej dawnemu Skarbnikowi (Podskarbiemu), Podsekretarz stanu dla spraw wewnętrznych dawnemu Wielkiemu Marszałkowi Koronnemu, a tylko Sekretarjat stanu dla wyznań, sprawiedliwości i wychowania publicznego jest nowoczesnym tworem, kumulującym w sobie jednak także i pewne dawne urzędy.

Kanclerza i Marszałka Polski mianuje jednostronnie Głowa Państwa, innych zaś ministrów na wniosek i za kontrasygnaturą Kanclerza. Kanclerz i inni ministrowie są odpowiedzialni tylko przed Głową Państwa, za wyjątkiem postawienia ich w stan oskarżenia uchwałą Sejmu lub Senatu przed Trybunałem Stanu.

II. Autochtoniczne odłamy narodów, zamieszkałe w granicach państwa polskiego — a więc Rusini, Białorusini i Litwini (ci ostatni po złączeniu się z Polską Litwy kowieńskiej) — winny być reprezentowane w Urzędzie Kanclerskim przez odpowiednich Podsekretarzy stanu.

III. Głowa Państwa. Kompleks spraw zasadniczych, decydujących o egzystencji i mocarstwowym rozwoju państwa wielonarodowego, jakiem jest Polska już dzisiaj i jakiem będzie zapewne jeszcze bardziej w przyszłości, w myśl zawsze aktualnej idei jagiellońskiej, wymaga — nietylko w wyniku logicznej refleksji i tradycji historycznej, ale również i na podstawie dotychczasowego, praktycznego doświadczenia i grożących wciąż państwu naszemu tendencji odśrodkowych — aby na czele państwa stanął conajmniej obierany dożywotnio Regent z atrybutami władzy monarszej.

Dotychczasowy bowiem ustrój prezydencki stanowczo nie będzie w stanie sprostać specyficznym zadaniom państwa wielonarodowościowego, gdyż wśród ludów tej części Europy, w której Polska jest położona, prezydent republikański, obierany na krótki okres czasu i nie reprezentujący dla tych ludów o pewnym słowiańskim prymitywiżmie, autorytetu prawdziwie nadrzędnego Arbitra i reprezentanta Korony, nie będzie mógł się stać ośrodkiem ruchu atrakcyjnego innych narodów do Polski, od czego właśnie losy naszego państwa i jego misja dziejowa w bardzo znacznej mierze zawisły.

Nie rozwiązując więc narazie trudnej kwestji monarchji dziedzicznej i odpowiedniej dynastji, zalecamy tylko jak najkategoryczniej ustrój regencyjny, który mógłby być każdego czasu tylko uzupełniony osobą monarchy.

IV. Rada Stanu powinna powstać przy Regencie drogą nominacji przez niego pewnej, niewielkiej ilości (n. p. 25) bardzo poważnych, zaprzysiężonych przedstawicieli wszelakich sfer obywatelstwa — wyłącznie według uznania Regenta — dla bezpośredniej, niezależnej, pozaurzędowej informacji Regenta o faktycznym stanie rzeczy w społeczeństwie, jego rzeczywistych nastrojach i najważniejszych potrzebach. Taka specjalna Rada Stanu nie miałaby wprawdzie prawa oficjalnej inicjatywy ustawodawczej lub administracyjnej, niemniej jednak mogłaby nieoficjalnie, swym głosem informacyjno-doradczym, oddawać znaczne usługi w obu wymienionych kierunkach.

V. Parlament składać się ma z Senatu i Sejmu o równych kompetencjach ustawodawczych. W razie braku zgody między nimi rozstrzyga Regent o danej ustawie w sposób decydujący. Nadto każda wogóle ustawa, uchwalona kolejno przez Sejm i Senat, wymaga dla swej prawomocności zatwierdzenia przez Regenta.

Senat składa się ze 100 członków. W skład jego wchodzą: a) wiryliści w osobach wszystkich biskupów djecezjalnych, dalej rektorzy wyższych uczelni, mających pełne prawa uniwersyteckie, prezes Polskiej Akademji Umiejętności oraz odznaczeni Orderem Orła Białego, b) delegaci Sejmów wojewódzkich z odpowiednio wysoką granicą wieku i wyższym cenzusem wykształcenia, c) nominowani przez Regenta z pośród osób, szczególnie dla kraju zasłużonych, przyczem ogólna ilość wirylistów i nominatów nie może przekraczać połowy członków Senatu. d) osoby ewentualnie kooptowane przez Senat, jednak w liczbie nie przekraczającej 10% jego składu.

Sejm składa się z 200 członków-delegatów Sejmów wojewódzkich. Wybierać do Sejmów wojewódzkich mają prawo: a) obywatele 28-letni z jednym głosem, b) ojcowie lub matki-wdowy, mające dzieci poniżej 28 lat, z podwójnym głosem, c) obywatele z ukończonem wykształceniem akademickiem — z potrójnym głosem.

Wybierane mogą być osoby w wieku conajmniej 28 lat i z wykształceniem conajmniej średniem (ogólnem lub zawodowem).

Doktryna, jakoby leżało w istocie demokratycznego ustroju, iż pierwszy lepszy, niewykształcony obywatel ma mieć prawo rozstrzegać w parlamencie o ustawodawstwie i losach państwa, winna być raz na zawsze odrzucona, jako ubliżająca Polsce i jej władzom ustawodawczym, a przytem w gruncie rzeczy wręcz przeciwna rozumnie pojętej idei demokratycznej, która bezspornie wymaga, aby kierownictwo losami państwa leżało w rękach odpowiednio wykształconych i wiekiem dojrzałych obywateli.

Wykluczone od biernego wyboru do Parlamentu i wogóle do władz ustawodawczych muszą być osoby, wyznające zasady międzynarodówkowe — a więc w konsekwencjach swych antypaństwowe — a zwłaszcza należące do organizacyj międzynarodówkowych. Dotychczasowa tolerancja swobody przekonań nie powinna być posunięta w Polsce aż do uznawania przekonań i zrzeszeń, dążących — choćby tylko w teorji — do zniszczenia Polski i wiary religijnej na rzecz jakichkolwiek koncepcyj międzynarodowego i bezreligijnego kolektywu.

Pod pojęcie międzynarodówek nie należy jednak podciągać wyznań religijnych, przez państwo uznanych.

W tem postanowieniu i zasadzie, wykluczającej międzynarodówki z wszelkiej roli w polskiem życiu publicznem, leży największy, rzetelny postęp, zalecany niniejszym projektem. Ab-

surdem jest bowiem dopuszczenie do oficjalnego wpływu na państwo doktryn i zrzeszeń antypolskich, antypaństwowych. Taki samobójczy, nielogiczny ultra-liberalizm zakostniałej demokracji, narzucony Polsce wskrzeszonej przez obce agentury, winien być usunięty bez dyskusji, uświadomioną zgodą całego narodu. Może brać udział w Parlamencie polskim nawet najbardziej szowinistyczny przedstawiciel mniejszości narodowych, walczących o prawa i korzyści dla swych ziomków, ale pod żadnym warunkiem nie powinien być dopuszczony wyznawca jakiejkolwiek doktryny międzynarodówkowej, negującej, choćby tylko w swych teorjach, odrębność narodu i państwa polskiego.

Delegaci Sejmów wojewódzkich, jako członkowie Parlamentu, mogą wprawdzie reprezentować w drugim rzędzie interesy regjonalne, ale w pierwszym rzędzie interesy ogólno-państwowe i przy wyborze do Parlamentu nie mogą być krępowani żadnemi twardemi instrukcjami ze strony Sejmów wojewódzkich.

VI. Ośrodkiem i źródłem autonomji społecznej i zarazem dobrze pojętego regjonalizmu i decentralizacji, która przy silnym a uproszczonym rządzie centralnym w niczem nie przeszkodzi dyscyplinie i sprężystości ogólno-państwowej, mają być Sejmy wojewódzkie oraz Rady gminne.

Sejmy wojewódzkie, do których wybieralność określono powyżej, są pomyślane z jednej strony jako kontynuacja do pewnego stopnia sejmików dawnej Rzeczypospolitej, z drugiej zaś strony jako wyraz kumulacji nowoczesnego samorządu terytorjalnego i gospodarczego, z uwzględnieniem także politycznej pracy obywatelskiej.

Dlatego Sejm wojewódzki dzielić się winien na stałe komisje (zastępujące także dotychczasowe Izby samorządowe): polityczną, administracyjną, gospodarczą, oświatową i inne. Komisje te przedkładają swe wnioski plenarnemu Sejmowi do zatwierdzenia. Osobna ustawa określi, które sprawy regjonalne załatwia Sejm wojewódzki wa własnym zakresie z mocą ustawodawczo-regjonalną, a które przesyłać musi w formie wniosku pod obrady centralnego Parlamentu.

Najniższym stopniem samorządu są Rady gminne, urządzone w swym zakresie podobnie, jak Sejmy wojewódzkie, przyczem jednak podział ich na komisje (izby) odbywać się może tylko w miarę potrzeby. Osobna ustawa określi ordynację wyborczą do Rad gminnych na szerszych podstawach, niż do Sejmów

wojewódzkich, z zachowaniem jednak wieku conajmniej 28 lat dla czynnego i biernego wyboru.

W ten sposób znajdą uproszczony wyraz i właściwą organizację wszelkie sprawy, rozczłonkowane dotąd wśród nader skomplikowanego i wielce kosztownego aparatu samorządowego i gospodarczego. Zniknie nadmiar wszelakich „Izb", jako odrębnych instytucyj, izolowanych od ogółu spraw państwowych i społecznych, a wskutek tego oczywiście zbyt egoistycznie i jednostronnie w funkcjonowaniu swem nastawionych, a przy tem z natury rzeczy biurokratycznych. Przedewszystkiem zaś skumulowanie w Radach gminnych i Sejmach wojewódzkich wszelkich spraw gospodarczych, społecznych i politycznych spowoduje niewątpliwie większe wyrobienie obywatelskie i szerszy horyzont, jak również lepsze zrozumienie dla współzależności różnych stron życia państwowego wśród obywateli, zwłaszcza współzależności między polityką i gospodarką. A tego właśnie najbardziej Polsce potrzeba.

System ten kumulacji poszczególnych działów autonomji społeczeństwa przyczyni się nadto do znacznego zmniejszenia kolosalnie rozwiniętego dotąd, wielokrotnego biurokratyzmu i oszczędzi budżetowi publicznemu olbrzymie sumy, wydawane całkiem niepotrzebnie na dzisiejszy aparat podwójnego samorządu: terytorjalnego i gospodarczego, oraz na różne ich przybudówki. Uproszczony ten system będzie także jedynie stosownem dla Polski połączeniu swobody indywidualnej i czegoś w rodzaju „lekkiego korporacjonizmu" — właśnie w formie całkowitej i stopniowej kumlacji państwowej pracy obywatelskiej, od Rad gminnych, poprzez Sejmy wojewódzkie aż do centralnego, przeważnie z delegatów ciał niższych złożonego Parlamentu.

Dla sprawniejszego funkcjonowania tego aparatu winna być ilość województw zmniejszona i nowe ich granice racjonalnie określone z uwzględnieniem tradycyj historycznych i właściwości regjonalnych, a z bezwzględnem zniszczeniem istniejących wciąż jeszcze granic dzielnicowo-rozbiorowych, pojęcia „kresów" i t. p.

VII. Decentralizacja. Rozumnie i celowo ujęta zarówno w oficjalnym ustroju państwa, jak i w polityce administracyjnej rządu — nietylko nie przeszkodzi ona w niczem postulatowi silnej władzy rządu, która winna wypływać z własnej jego kon-

strukcji, energji i autorytetu, ale przyczyni się niewątpliwie do wzmocnienia państwa pod każdym względem.

Skonstatować bowiem można, że tylko w państwach mniejszych i kulturalnie niższych koncentruje się wszystko w stolicy, poza którą jest przeważnie głucha i mizerna „prowincja". Natomiast w państwach pierwszorzędnych widzimy oprócz stolic także mnóstwo innych większych miast, z których niejedno jest nawet w wyższym stopniu, niż stolica, ośrodkiem jakiejś dziedziny ustroju państwowego lub życia społecznego.

Otóż Warszawa pochłania zanadto twórcze siły państwa i hamuje rozwój innych miast. Całe życie obywatelskie skupia się w Warszawie. A dzieje się to z coraz większą szkodą nietylko dużych miast prowincjonalnych, ale i całych prowincyj i sprowadza w konsekwencji osłabienie państwa.

Stąd ogólna dyrektywa: rozplanować ruch inwestycyjny i budowlany oraz różne instytucje, które niekoniecznie muszą się znajdować w stolicy, na odpowiednie ośrodki wojewódzkie. Olbrzymi ruch polityczny i handlowy w Warszawie nie jest korzystnym dla skoncentrowania w niej wszelakich instytucyj, wymagających odpowiedniego spokoju dla należytego funkcjonowania, a mogących bardzo ożywić inne większe miasta. Nasuwa się tu sprawa odpowiedniego rozmieszczenia zwłaszcza najwyższych instytucyj naukowych i wymiaru sprawiedliwości.

VIII. Urzędy państwowe muszą nabyć w oczach obywatelskiego ogółu prawdziwie nadrzędnego charakteru, opartego o pewien specyficzny „konserwatyzm urzędowy", a żadną miarą nie mogą być zależne od różnych, nieodpowiedzialnych zrzeszeń społeczno-politycznych lub prywatno-zawodowych. W takim razie bowiem nie Rząd ma cugle państwa w ręku, ale w rzeczywistości mają je rozmaite zrzeszenia i prądy i wpływy prywatne, wśród których łatwo mogą się znaleźć i obce agentury. Typowy, bezsporny i powszechnie znany przykład takiej anomalji stanowi wpływ Związku Nauczycielstwa Polskiego na nasze władze oświatowe. Rozwodzić się nad niezmierną szkodliwością tego stanu rzeczy niema nawet potrzeby. A dzieje się to przedewszystkiem dlatego, że nauczyciel czuje się w Polsce daleko więcej członkiem jakiejś partji i przez to politycznym agitatorem, niż urzędnikiem państwowym, którym przecież jest w istocie.

Ponieważ zaś oświata i wychowanie młodzieży są jednym z najważniejszych czynników egzystencji, podniesienia i mocar-

stwowego rozwoju państwa pod względem moralnym i w konsekwencji także materjalnym, przeto żądać należy nietylko formalnego, ale i faktycznego zniszczenia jakichkolwiek personalnych wpływów stowarzyszeń nauczycielskich na urzędy i aparat oświatowy.

W związku z tem stwierdzić należy, że wszelakie wogóle stowarzyszenia zawodowe urzędników i pracowników państwowych winny być skasowane i zakazane, jako w istocie bezużyteczne a wielce szkodliwe. Urzędnik państwowy jest już bowiem ipso facto członkiem oficjalnego „zrzeszenia", jakie stanowi dany urząd, a na szerszą skalę świat urzędniczy, uprzywilejowany wobec innych obywateli wyposażeniem we władzę. Tam więc może każdy urzędnik załatwiać najlepiej i najskuteczniej także i swoje personalne postulaty, bez zrzeszania się przeciw własnemu światowi urzędowemu i podważania przez to właśnie autorytetu władzy. Natomiast zezwalanie na prywatne „koalizowanie się" urzędników państwowych (i samorządowych) w osobne stowarzyszenia zawodowe, które z natury rzeczy muszą być egoistyczne i podatne wszelkim wpływom demagogicznym, jest znowu zbyt daleko posuniętą tolerancją obcych wzorów demokratycznej anarchji i tworzenia państw w państwie, wobec których w niejednym wypadku i minister i rząd cały — jak doświadczenie wykazuje — muszą się czuć bezsilni.

IX. Własność prywatna. Dotychczasowe ustawodawstwo polskie oraz praktyka administracyjna są w tej ważnej dziedzinie — która najistotniej może odróżnić ustrój Polski od markssowskiego — pełne sprzeczności. Z jednej bowiem strony poręcza konstytucja własność prywatną, a ustawiczne apele rządu wzywają przedsiębiorców do wyścigu pracy, z drugiej zaś własność i zarobek prywatny kruszone są w praktyce wszelkimi sposobami: demagogiczną nawskroś ustawą o przymusowem wywłaszczaniu ziemi rolnej, socjalistyczym przymusem ubezpieczeń i innych wstrętnych „dobrodziejstw społecznych", rozleniwiających i anarchizujących szerokie sfery społeczeństwa i wreszcie nadmiernym, prawniczo i logicznie absurdalnym ciężarem świadczeń publicznych wszelkiego rodzaju.

Polska więc musi raz nareszcie jasno i wyraźnie zdecydować się i wypowiedzieć: czy chce iść w kierunku wszechwładzy państwa za wszelką cenę i w nieuchronnym rezultacie wpaść w ustrój marksowskiego kolektywizmu w jakiejkolwiekbądź formie, czy też być krajem nienaruszalności prawa własności

prywatnej, systemu „bogacenia się państwa przez bogacenie się obywateli“ i — co z tem jest nieodłącznie związane — krajem, którego wszelki wyższy ustrój oparty jest na podstawowej komórce społecznej: rodzinie, wzmocnionej sakramentalnym momentem małżeństwa.

Wybór wśród tej alternatywy jest niezbędny, gdyż wszelkie pośrednie wybiegi na nic się nie zdadzą, a muszą tylko doprowadzić do marksowskiej niewoli społecznej w formie totalizmu lub kolektywizmu, co w ostatecznym rezultacie na jedno wychodzi. Tę wielką prawdę winien każdy Rząd, każdy polityk i każdy eksperymentujący prawodawca raz nareszcie dobrze sobie uświadomić. Musi wziąć bardzo krytycznie pod uwagę głębszą naturę psychiki społeczeństwa polskiego, która całkiem odmienną jest od mentalności innych narodów i nie podda się na stałe żadnej totalnej władzy i żadnemu systemowi kolektywu. Wszystkie więc odnośne projekty i zamierzenia są tylko stratą czasu, rujnującą naród nasz i państwo moralnie i materjalnie, a nadto niezmiernie szkodliwą rzeczą w kraju, sąsiadującym z jednej strony z komunistyczną Rosją, a z drugiej z totalistycznym, neopogańskim germanizmem.

Przymusowa reforma rolna, dająca fatalny przykład wychowawczy szerokim masom przez podniecanie ich łakomstwa na cudze mienie, a nadto obniżająca w naszych warunkach dotkliwie produkcję rolną, winna być stanowczo zniesiona jako antypaństwowy rezultat doktryny socjalistycznej, a nacisk biurokratyczno-fiskalny na zarobek i wysiłek kapitalizacyjny sfer prywatnych winien być znacznie zmniejszony. Pseudo-naukowa i pseudo-patrjotyczna, zdawkowa wymówka o t. zw. postulatach nowych czasów i postępu musi być przez zdrowy polski rozsądek bezwzględnie odrzucona, jako oczywisty fałsz, niezgodny z prostemi prawami rozwoju, cywilizacji i przyrody, narzucony wskrzeszonej Polsce perfidnie przez obce doktryny i agentury.

W przeciwnym bowiem razie będzie musiała Polska mimowoli bolszewizować się i proletaryzować, a przez to osłabiać się coraz bardziej pod względem zdolności obronnej oraz możliwości pełnienia doniosłych zadań, do których z natury rzeczy jest powołana.

X. Dobrodziejstwa społeczne. Organizacja ubezpieczeń i innych dobrodziejstw społecznych winna istnieć w państwie cywilizowanem, ale tylko w formie dobrowolnej. Ubezpieczenia

i szpitale powinny być szeroko rozwinięte i sumiennie funkcjonować, ale nie jako przymusowy instrument podatkowy i demagogiczny, którym są dotąd w praktycznej swej istocie.

Państwo bowiem ma prawo żądać od obywateli pełnienia obowiązków i ma wzamian za to obowiązek stwarzać obywatelom wszelkie możliwości dobrodziejstw społecznych, ale jedynie tylko na zasadzie dobrowolności. Natomiast nie ma państwo prawa narzucać obywatelom gwałtem i przemocą dobrodziejstw przymusowych i przez to rujnować ich gospodarczo i traktować dojrzałych obywateli za małoletnie dzieci lub niewolników.

Państwo może żądać w wyjątkowych wypadkach największych ofiar krwi i mienia, a wogóle dyscypliny wobec porządkowych postanowień prawa i zarządzeń władz, ale niedopuszczalnem jest moralnie i niezgodne z podstawową w Polsce ideą wolności, jak również niezgodne z godnością obywatelską i kardynalnymi postulatami ekonomicznego rozwoju kraju zmuszanie obywateli pod grozą kar do generalnych ubezpieczeń społecznych i ograniczanie, a więc w rezultacie tłumienie — wzorem marksowskiej doktryny — swobodnej chęci do pracy i naturalnego dążenia do uczciwego zarobku.

Państwo może więc ograniczyć maximum godzin pracy, poza które nikt nie może być do niej zmuszany, ale nie wolno państwu tamować dobrowolnej, indywidualnej chęci do większej ilości godzin. Winno też państwo, w granicach normalnego budżetu oraz dobrowolnych zgłoszeń i wkładek obywatelskich, utrzymywać wzorowo funkcjonujący aparat ubezpieczeń i kas chorych, ale powszechny przymus pod tym względem jest niedopuszczalny jako wyraz supremacji doktryny socjalistycznej czy komunistycznej.

Śmiałe, bezwzględne zniesienie przymusu w tych dziedzinach nie pociągnie za sobą żadnych objawów „gniewu ludu", którym grożą perfidnie żerujący na organiźmie Polski demagodzy. Wręcz przeciwnie — poza nieszczerym protestem pewnych demagogicznych polityków i dziennikarzy, czerpiących swą karjerę i zyski z narkotyzowania rządu i społeczeństwa szkodliwemi zdobyczami zakostniałego programu socjalistycznego i poza pewną garstką trzęsących się ze strachu przed własnym cieniem konserwatystów, przejdzie przez całe społeczeństwo potężny oddech wielkiej ulgi, zachęty do pracy i prawdziwego (nie sztucznie rozdmuchanego) zaufania do państwa, gdy skończy się gwałcenie prawa własności i gnębienie wszystkich sfer socjali-

stycznym przymusem ubezpieczeniowym. W przeciwnym razie największy patrjotyzm szumnych słów i zamiarów nie uchroni Polski od zbliżenia się do państw o ustroju niewoli społecznej, co na gruncie mentalności polskiej groziłoby katastrofalnemi następstwami na polu najpierw moralnem, potem gospodarczem, a w końcu i politycznem.

XI. Mniejszości narodowe. Zwyczajowa ta nomenklatura jest błędną i wychodzi w ostatecznym rezultacie na mimowolne pomniejszanie Polski. Nie jakieś bowiem mniejszości narodowe — o ile chodzi o ludy autochtoniczne — znajdują się w obrębie obecnych granic naszego państwa, ale odłamy narodów, które wchodziły ongiś przez długie wieki w skład dawnej, wspólnej Rzeczypospolitej, a które dziś — miejmy nadzieję, że tylko przejściowo — znajdują się w części poza jej obecną granicą.

Otóż ogólne dążenie narodu polskiego do odzyskania tych narodów w całości, wraz z ich terytorjami, z powrotem dla wspólnego państwa, względnie silnego zespołu państw, jest najważniejszą racją stanu Polski i — powiedzmy otwarcie — podstawowym warunkiem należytego zabezpieczenia jej i ich egzystencji. Polska, Litwa, Ruś i Białoruś muszą znaleźć się w jakiejkolwiek formie pod wspólnym dachem, jako równi z równymi, jako współtwórcy i współgospodarze specyficznego zespołu mocarstwowego, przyczem narodowi polskiemu, jako opartemu o największą tradycję, kulturę i polityczne wyrobienie, przypada z natury rzeczy rola „narodu przewodniego". I właśnie dlatego nadrzędna osobistość regenta (a potem może i monarchy), jako zwierzchniego reprezentanta nie tylko Polski ale i innych, w odpowiedni sposób skojarzonych z nią narodów, może odegrać w tym wielkim procesie konsolidacji decydującą rolę, której ustrój prezydencki nigdy nie sprosta.

W kwestji stosunku tych ludów autochtonicznych do Polski resp. wspólnego zespołu mocarstwowego stwierdzić należy zasadniczo, że:

a) Litwa Kowieńska, będąca w obecnych jej granicach właściwie tylko nieco powiększonem Strostwem żmudzkiem, ma wrócić bez zastrzeżeń do Polski, a w takim razie Wilno może się stać duchową stolicą wszystkich Litwinów, spolonizowanych lub nie, z zachowaniem oczywiście polskości tego miasta, nabytej w wielowiekowym rozwoju,

b) naród białoruski, należycie uświadomiony o swej historycznej roli antyrosyjskiego taranu, ma przeciwstawić się sam

i przy pomocy Polski inwazji zarówno wpływów rosyjskich, jak i ukraińskich i to tembardziej, że Białoruś nie miała nigdy i nie ma nic wspólnego z Rusią południową (ukraińską),

c) po niezliczonych doświadczeniach szeregu wieków ostatnich jest już obecnie tezą bezsporną, że dopóki południowa Ruś trwa uparcie w tradycjach i mentalności anarchicznie⸗rewolucyjnego „incydentu siczowego", to nigdy nie będzie w stanie wykazać jakichkolwiek zdolności państwowo⸗twórczych, ale będzie tylko wiecznie ropiejącym wrzodem i atutem rozgrywek obcych potencyj ku własnej swej zgubie. Stąd żadne chwilowe kompromisy wyborcze czy sejmowe polsko⸗ukraińskie tej sprawy nie załatwią, a przeciwnie, niszczącą ideologją siczowo⸗hajdamacką jeszcze bardziej ją zaognią. Jedynem wyjściem z tego polsko⸗ruskiego impasu jest planowe, cierpliwe, nieugięte, z żelazną konsekwencją prowadzone szerzenie ideologji „historycznego Rusina" wraz ze szlachetnemi tradycjami ruskiego narodu i stanowczem tępieniem i wyplenieniem wszelkiej mentalności „ukraińskiej", t. j. kozacko⸗hajdamackiej.

XII. Zagadnienia niemieckiego w Polsce nie uznajemy, gdyż niema w naszych granicach żadnych okręgów niemieckich. Obywatele polscy, narodowości niemieckiej, mając na zachodzie olbrzymi kraj ojczysty, do którego mogą wrócić każdej chwili, muszą, dopuki żyją i zarabiają w Polsce, być patrjotami państwa polskiego. Mogą wprawdzie uprawiać kulturę narodową, ale nie wolno im poczuwać się do wspólnoty z Rzeszą i dawać w jakikolwiek sposób wyraz „podwójnemu obywatelstwu" pod sankcją wysiedlenia. Pozatem stosować ma Rząd polski w stosunku do Niemców zasadę wzajemności według miary traktowania Polaków w Niemczech.

Natomiast — w myśl panującej dziś powszechnie na świecie idei łączenia się wszelkich terytorjów narodowych oraz pewnych gospodarczych, koniecznością dyktowanych zasad geopolitycznych — nie może Polska zrezygnować z Gdańska, jako ujścia swej rdzennej i największej arterji wodnej, która cała musi do Polski należyć, jak również z polskich obszarów Prus Wschodnich oraz śląskich.

XIII. Powyższe wytyczne nastawienia państwa polskiego do zamieszkujących je Niemców mają mieć zastosowanie także do polskich obywateli narodowości rosyjskiej.

XIV. Sprawa żydowska w Polsce sprowadza się w gruncie rzeczy do dwuch postulatów zasadniczych:

a) ułatwiania i przyspieszania odpływu Żydów na podstawie ustawy o corocznej, procentowej emigracji,

b) odpowiedniego, polityczno-gospodarczego wyrobienia rdzennego społeczeństwa polskiego i rozbudowy rdzennie polskiej, prywatnej gospodarki i finansów.

To ostatnie nie będzie jednak możliwem, dopóki zachłanny etatyzm i bezkrytyczny fiskalizm rządowy, samorządowy i ubezpieczeniowy, na marksowskich wpływach oparty, paraliżować będą inicjatywę gospodarczą, pracę, lepsze zarobkowanie i wydatniejszą kapitalizację prywatnych sfer społeczeństwa polskiego.

XV. Aparat sądownictwa — jakkolwiek pod względem administracyjnym podległy Sekretarzowi stanu dla wyznań, sprawiedliwości i wychowania publicznego — tworzy jednak w zakresie wymiaru sprawiedliwości organizację niezawisłą, wydającą wyroki w imieniu Regenta. Najwyższym prokuratorem państwa jest nie Sekretarz stanu dla sprawiedliwości, lecz mianowany przez Regenta bezspośrednio Generalny Prokurator Państwa. Regent mianuje także bezpośrednio Prezesa Najwyższego Trybunału.

Niezawisłość sędziowska musi być zagwarantowana i zachowana faktycznie, a nie tylko formalnie.

Zarząd Związku Polskiej Myśli Państwowej

(—) Dr. Jan Bobrzyński
(—) Stanisław Meyer
(—) Józef St. Czarnecki

Zarząd
Str. Narodowych Monarchistów

(—) Władysław hr. Tyszkiewicz
(—) Edward hr. Saryusz-Stokowski
(—) Eugenjusz Łoziński

Niewykorzystane momenty

Zrealizowanie wspólnej polsko-węgierskiej granicy, które przed trzema miesiącami wydawało się tylko kwestją dni — stanęło od szeregu tygodni na martwym punkcie.

Pierwszy zawód zrobiła Słowaczyzna, która zamiast skorzystać z okazji do kompletnego oderwania się od Czech i do sfederowania się z koroną Św. Stefana, dała się pociągnąć przez swych krótkowzrocznych polityków do pozostania w ramach okrojonej Czechosłowacji. Nieszczęście bowiem chciało, że po śmierci ks. Hlinki ster rządów na Słowaczyźnie wziął w ręce jako jego następca ks. Tiso, zwolennik kompromisów z Czechami i p. Sidor, który u nas w Polsce do niedawna uważany był za polonofila i czechofoba, ale który zmienił w stosunku do nas w ostatnich czasach swoje sentymenty polityczne, odkąd Polska włączyła do swych granic część Czadeckiego i Jaworzynę... Ten przykład zmiany sentymentów może być teraz gorzką nauczką dla niektórych nieoficjalnych polityków polskich, którzy stawiali swoją kartę na p. Sidora i na jego polonofilstwo, rojąc sobie, że przy jego pomocy cały Spiż z Orawą i Czadeckiem(a bodaj że nawet Bratislava) pomaszerują z chlebem i solą na spotkanie wojsk polskich. Jak to spotkanie wyglądało w rzeczywistości później, o tem świadczy niestety śmierć majora Rago, ongi mojego podkomendnego z Krechowieckich ułanów i śmierć kilku jeszcze innych polskich żołnierzy. Ci to właśnie nasi nieoficjalni politycy w ciągu lat ostatnich aż w ten sposób rozwijali „filopolską“ propagandę na Słowaczyźnie, że paraliżowali nią tam propagandę pro-węgierską. Rezultaty tego dziś są następujące: Słowacy zdezorjentowani, bo pociągani i przez sąsiadów z północy i przez sąsiadów z południa, zdecydowali się, jak narazie, pozostać ze „lwem czeskim“, zapędzonym do niemieckiej klatki. Nie są to więc rezultaty korzystne dla idei osiągnięcia wspólnej polsko-węgierskiej granicy. Kiedy

w ciągu ostatnich lat niejednokrotnie podkreślałem, że w interesie polskim jest popieranie nie hlinkowców, lecz akcji emigracyjnego przywódcy słowackiego, księdza Dra Jehliczki, który stał na stanowisku oderwania Słowaczyzny od Czech i powrotu jej na zasadach szerokiej autonomji, czy też federacji do Korony Węgierskiej i który głosił słuszność oddania Polsce pogranicznych skrawków Słowaczyzny w Czadeckiem, na Spiżu i Orawie, to tylko niewielki odłam prasy polskiej popierał moje tendencje. Większość prasy o ks. Jehliczce milczała, a jakiś hurra-patryjota, głupiec, przysłał mi nawet do Budapesztu list z wymówkami, że robię reklamę takiemu „germanofilowi, oddanemu Niemcom", jakim jest ksiądz Jehliczka. Modnem było wówczas popieranie tylko „słowianofila" — księdza Hlinki i jego prawej ręki — p. Sidora, redaktora „Slovaka". Modni też byli tylko ludowcy Hlinki, a nie pro-węgierscy separatyści Jehliczki. Cóż powiedzą na to obecnie ci sami nasi politycy, że rzekomy „germanofil", ksiądz Jehliczka, nie został osadzony na fotelu słowackiego premiera przez wszechwładnych dziś na Słowaczyźnie i w Czechach Niemców, lecz prowadził dalej... bez prawa wzjazdu na Słowaczyznę, aż do dnia śmierci, która nastąpiła 4 stycznia b. r., akcję swą zagranicą z temi samemi niezmiennemi pro-węgierskiemi tendencjami? Natomiast następca ks. Hlinki w jego obozie, ks. Tiso, jest dziś powolnem narzędziem polityki, dyktowanej z Berlina via Praga, zaś to, co wypisuje pod adresem Polski „Slovak", dziennik p. Sidora, bynajmniej nie świadczy o przyjaznych jego dla Polski uczuciach. Ale nie bądźmy pesymistami! Są już pewne objawy po paromiesięcznych próbach czesko-słowackiej politycznej współpracy, świadczące, że szerszym masom narodu słowackiego zaczynają powoli otwierać się oczy na bezwartościowość współpracy z Czechami pomimo tendencyjnej propagandy antywęgierskiej, rozwijanej w prasie przez dzisiejszych słowackich prowodyrów i pomimo ich antywęgierskich prowokacji. Czekajmy więc. Klamka jeszcze nie zapadła, bo ani granice dzisiejszej Czecho-Słowacji nie zostały przez wszystkich jej sąsiadów ostatecznie uznane. ani prawdziwy plebiscyt wśród Słowaków, zagwarantowany im umową wiedeńską, nie został przeprowadzony. Czekajmy więc — jutra.

Bardziej niepokojącem jest to, co się stało z Rusią Podkarpacką i co się tam obecnie dzieje.

Otóż sto kilkadziesiąt gmin tego niewielkiego kraiku, czyli prawie wszystkie jego gminy, przed 2-ma miesiącami jeszcze

wysłały adres do Węgier z tem, iż proszą o przyłączenie Rusi Podkarpackiej do Korony Św. Stefana, do której kraj ten przez 1000 lat należał. Proszą zaś o to tembardziej, że najżyźniejsza, południowa część tego kraiku, wraz z największymi miastami Ungvarem i Mukacsem, powróciła już do Węgier, jako część Rusi etnograficznej prawie czysto węgierska. Wymienione gminy zwróciły się z prośbą o jaknajszybsze zajęcie całej Rusi Podkarpackiej przez wojska węgierskie, gdyż sytuacja staje się tam niemożliwa. Mniejwięcej w tym samym czasie Rusini Podkarpaccy zwrócili się o interwencję do Polski i do Niemiec, o czem podała też do wiadomości prasa zagraniczna i polska. Sytuacja w tym ubogim a nieszczęśliwym kraiku stała się rzeczywiście nie do zniesienia, gdyż na całem jego terytorjum rozgrywały się walki partyzantów pro-węgierskich z wprowadzonymi na Ruś regularnymi pułkami czeskimi i z „siczowymi" strzelcami „ukraińskimi", formowanymi tym za aprobatą Pragi i osławionego premiera „Karpackiej Ukrainy" księdza Wołoszyna. Wszyscy wiemy, że te „ukraińskie" formacje na Podkarpackiej Rusi miały być wojskową kadrą, podsycającą apetyty separatystyczne naszych ukraińców w Małopolsce wschodniej.

Zdawałoby się więc, że w obronie wspólnych, choć cokolwiek różnych interesów, armja węgierska od południa, zaś armja polska od północy zajmą w ciągu jednego dnia ten wąski, bo tylko czterdziesto-kilometrowy pas, rozdzielający oba zaprzyjaźnione kraje, a noszący nazwę Rusi Podkarpackiej. Niestety tak się niestało. Kulisy tej sprawy mało są komu dokładniej znane — nie wolno jeszcze dziś o tem pisać. Jedna rzecz jest pewna, że zrzucanie całej winy na Węgrów, jako rzekomo jedynie zainteresowanych sprawą Rusi Podkarpackiej, rzucanie gromów na ich powolność w decyzji i „przepuszczanie przez nich momentu" — nie jest całkowicie objektywnem. Chociaż bowiem mała Ruś Podkarpacka miała się dostać w całości tylko Węgrom, jednak sprawa wspólnej z Węgrami granicy leżała równie w interesie polskim, jak i węgierskim. Sprawa zaś zniszczenia w zarodku wylęgarni irydenty ukraińskiej, która z „Podkarpackiej Ukrainy" zaczynała odrazu rozwijać swą akcję na tereny Małopolski Wschodniej, była i jest dotąd wyłącznie sprawą polską, a nie węgierską.

Dlatego też oskarżanie Węgier, że to one tylko przepuściły odpowiedni moment, należy znacznie złagodzić, a to tembardziej, jeżeli wnikniemy głębiej w treść pewnej depeszy, datowanej z dnia 5 grudnia, będącej powtórzeniem doniesienia prasy

ukraińskiej z Huszt, a powtórzonej przez prasę polską. Otóż według tego doniesienia premier Zakarpacia, ks. Wołoszyn miał oświadczyć, iż „Karpacka Ukraina“ (a nie Ruś Podkarpacka) ma do zawdzięczenia wiele nietylko Niemcom, ale i Rumunji, która „w najcięższych chwilach nie solidaryzowała się z rewindykacyjnymi planami niektórych sąsiadów“...

Jakiemi były w owych chwilach pociągnięcia polityczne Rumunii, aby uniemożliwić akcję tych „niektórych sąsiadów“ (z których jednym była właśnie Polska, sprzymierzona z Rumunią), o tem narazie pisać nie będziemy. Rumunia jednak przypomni to sobie wtedy, kiedy sztandar ukraińskiej irydenty rozwinie się u niej na Bukowinie i będzie wtedy wylewać łzy poniewczasie, że przeciwstawiała się przyłączeniu Rusi Podkarpacej do Węgier, podtrzymywała uzurpatorski rząd ukraiński, utworzony w tym kraiku przez ks. Wołoszyna.

Na zakończenie przytoczę tu ciekawe słowa, usłyszane w końcu grudnia, a więc przed miesiącem, od jednego z wybitnych polityków węgierskich, nie dodając do tego moich własnych komentarzy:

„Polacy robią nam, Węgrom, wymówki, że nie zdecydowaliśmy się zająć Rusi Podkarpackiej naszemi wojskami i tą drogą osiągnąć wspólną granicę z Polską, zapominają jednak, że pomimo przeprowadzonej mobilizacji nie byliśmy dostatecznie dozbrojeni, gdyż od czasów osławionego traktatu w Trianon nie wolno nam było dozbrajać się. Nie trzeba zaś zapominać, że ryzykowaliśmy w razie wmarszu na terytorium Rusi Podkarpackiej być zaszachowanymi przez Rumunię, a nawet Jugosławię. Wreszcie i Niemcy, z którymi musimy się dziś poważnie liczyć, dały nam do zrozumienia, że nie życzą sobie, aby siłą zbrojną zadecydowane było przyłączenie Podkarpackiej Rusi do Węgier. Ale Polska, posiadająca kilkusettysięczną, kompletnie uzbrojoną armję, mogła od północy wkroczyć na terytorjum Rusi, dowiedziawszy się, że Węgry tego same zrobić nie mogą... Mogła była to zrobić, kierując się przykładem Niemiec, które zajęły Sudety „w obronie uciśnionych swoich rodaków“. Przecież ludność Rusi Podkarpackiej, to tacy sami Rusini, jakich ma Polska jako swoich obywateli w Małopolsce Wschodniej. Rusini, uciskani przez ukraińskich „siczowych“ strzelców z obozu księdza Wołoszyna. Te bezprawia „ukraińców“, które działy się i dzieją dotąd na terytorjum podkarpackiej Rusi, mianowicie mordowanie i wieszanie nieszczęsnych tamtejszych

Rusinów, najzupełniej uprawniały i uprawniają Polskę do ujęcia się za nimi.

Ryzyko zaś obsadzenia polskimi wojskami tego rozniecającego ukraińską irydentą kraiku jest minimalne. Z Rzeszą Niemiecką łączy przecież Polskę pakt o nieagresji, to samo z Rosją Sowiecką, z którą w dodatku raz jeszcze teraz ten pakt został odnowiony. Z Rumunią ma Polska długoletni sojusz. Pozostałaby więc do rozprawy w polu tylko zdemoralizowana armja czeska i „siczowe", nieregularne bandy ukraińskie.

Jeżeli więc w tych warunkach wielkie państwo polskie nie zajęło Podkarpackiej Rusi, to nie można chyba dziwić się niedozbrojonym Węgrom, które zresztą nic nie miałyby przeciw temu, gdyby wojska polskie dla naszego wspólnego dobra przynajmniej czasowo kraj ten zajęły, aż do przeprowadzenia w nim plebiscytu.

Ale — dodał po chwili ze znaczącym uśmiechem mój rozmówca — nie róbmy sobie wzajemnych wymówek. Jeszcze nie jest zapóźno postawić ze strony polskiej sprawę Rusi Podkarpackiej na ostrzu noża. Tylko, „że to już ostatnie momenty do wykorzystania..."

Włodzimierz hr. Bem de Cosban.

Budapeszt, w grudniu.

Niepodobna nam nie zabrać uzupełniającego głosu w tak niezmiernie ważnej, kapitalnej dla Polski sprawie, jaką porusza Autor powyższego artykułu. Wprawdzie artykuł ten dostatecznie sam za siebie mówi, ale „temperament partjotyczny" naszej Redakcji zniewala nas do potwierdzenia i wzmocnienia twierdzeń Autora pod adresem Polski i Węgier. Chodzi tu bowiem nie o skrawek górzystego, gospodarczo niewiele wartościowego kraju, ile w gruncie rzeczy o los Polski i Węgier.

Z naszego punktu widzenia chodzi oczywiście w pierwszym rzędzie o los Polski, dla której przecięcie okrążenia od południa, wdłuż Karpat, przez Rosję czy Niemcy i pośrednie oparcie się o arterję Dunaju drogą wspólnej granicy polsko-węgierskiej jest w obecnej epoce historycznej najważniejszym postulatem dobrze przemyślanej racji stanu.

Ubolewamy — nie od dziś dopiero, że drogi i losy naszej polityki zagranicznej są — całkiem niepotrzebnie ukrywane przed ogółem, a nawet przed elitą intelektu polskiego narodu.

Jasno i wyraźnie twierdzimy, że złą jest ta taktyka panów powojenych dyplomatów. Głoszenie prawdy, choćby przykrej prawdy, jest zawsze rzeczą najlepszą. Poza pewną sferą społecznie bezwartościowych gieszefciarzy, którzy perfidnie wyzyskują każdą wiadomość, a nawet plotkę zagraniczną — i z którymi Rząd polski w poszczególnych wypadkach po drakońsku winien się rozprawić — ogół polskiego narodu, dostatecznie zahartowany na wszelką prawdę, winien być przez czynniki miarodajne dokładnie informowany o wszystkiem, co Polski dotyczy. W przeciwnym razie dyplomaci nie unikną w opinji ogółu najgorszych plotkarskich, a więc może całkiem niesłusznych zarzutów i — co gorzej — nastrój i dążenia nawet wykształconych sfer polskiego ogółu ulegają może zupełnemu zmyleniu i wypaczeniu wskutek taktyki ustawicznych „straszliwych" tajemnic urzędowych.

Może więc zaistniały jakieś tajemnicze przyczyny, układy lub kombinacje dyplomatyczne, które — oczywiście nie bez realnych widoków jakichś ogromnych dla Polski sukcesów na inych polach — dopuściły do chwilowego zahamowania sprawy wspólnej granicy oraz Rusi Zakarpackiej. Chcemy temu wierzyć, ale na razie konstantujemy następujące konkretne fakty:

1) że w Rusi Zakarpackiej stworzony został daleko bardziej jeszcze niebezpieczny wrzód, niż ten, który istniał pod rządami filobolszewickimi Masaryka i Benesza,

2) że dla skrajnie antypolskiego pod każdym względem ruchu kozacko-ukraińskiego stworzona została wspaniała centrala w „Zakarpackiej Ukrainie" — wobec czego sielanki normalizacyjne p. posła Mudrego i polsko-ukraińskie „sukcesy" różnych reklamowych działaczy w Małopolsce Wschodniej wyglądają na istne drwiny nietylko z Polski, ale i prostego, zdrowego rozsądku,

3) że Węgry rzucili się w objęcia Niemiec.

I tej potrójnej, gorzkiej a groźnej prawdy żadna frazeologja i żadna cenzura nie zatuszuje. Wszak widzą to wszyscy jasno i wyraźnie. Jeżeli zaś ten stan rzeczy był dla Polski wskutek sił wyższych nie do uniknięcia, to niechże nie traktuje się nas za dzieci, ale niech nam się powie prawdę!

Z zastrzeżeniem więc, że nic dokładnie nie wiemy z wielkich tajemnic polsko-europejskich i z owych ogromnych korzyści, jakie z innej strony zapewne zagwarantowała sobie Polska, puszczając Węgry pod władzę Niemiec i dopuszczając do kontynuowania krwawej komedji prusko-bolszewicko-czesko-ukra-

ińskiej na Rusi Zakarpackiej i do poddawania Słowacji pod władzę Niemiec przez arcysprytnego p. Sidora (którego lisia twarz na rozpowszechnianych przez prasę fotografiach na pierwszy rzut oka sama za siebie mówi), uważamy tylko za obowiązek nasz — nie „publicystyczny“, ale patrjotyczny — ogłosić, że cała ta sprawa kolosalnie nam się nie podoba.

Wprawdzie nie przekonał nas całkowicie Autor powyższego artykułu — a raczej jego interlokutor, o którym wspomina — że Węgrzy nie mogli wykorzystać wyjątkowo pomyślnej sytuacji i zaskoczyć całego świata zawsze najskuteczniejszym faktem dokonanym prostego zaboru Rusi Zakarpackiej. Że nie mogli uczynić tego ze strachu przed Rumunami, ze strachu przed Serbami, ze strachu przed Niemcami, i niewiadomo przed kim jeszcze. My wiemy od samych Węgrów, że gorzkie czynią sobie wyrzuty, iż w najodpowiedniejszym momencie wkraczania Niemców do Czech nie wkroczyli skutecznie na Ruś Zakarpacką. O ile wiemy, Rumunja nie byłaby się ruszyła i to z wielu własnych wewnętrznych i zewnętrznych powodów. Jugosławja ma dość własnych kłopotów, aby zajmować się abstrakcyjną dla niej sprawą jakiegoś tam skrawka Podkarpacia. A Niemcy wkraczały do Czech niby butnie, ale w gruncie rzeczy jak mysz na pudło, dopóki nie uzyskały placetu konferencji monachijskiej. Polska — przy całym swoim atawistycznym pacyfiźmie — zdobyła się jednak na, wprawdzie skromne, wykorzystanie okazji rewindykacji Zaolzia i dotarcia do grani wielkich Tatr. I nie jest żadną tajemnicą, bo wie o tem cała Europa, że Polska zmobilizowała jednak nad granicą karpacką, aż nadto dostateczne siły, aby rozbić w puch różnych Sidorów i Wołoszynów zanimby, używając języka strachopuchów, „nadbiegły im z pomocą żelazne zastępy teutońskie“.

Niedozbrojenie Węgier? Przeciw jakiej potędze? Księdza Tiso, czy dziennikarza Sidora, czy klechy Wołoszyna, czy groźby (bo wówczas jeszcze nawet nie faktu) nielicznych ukraińskich uciekinierów z Małopolski Wschodniej? Czyż wszystkie te ówczesne „potęgi“ wymagały tysięcy tanków i samolotów bombowych i krociowej armji?

Stanowczo nie! Trochę odwagi cywilnej, wypędzenia z budapesztańskich rządów małodusznych germanofilów i ze dwadzieścia zdecydowanie strzelających bataljonów i baterji węgierskich, a sprawa byłaby załatwiona. A potem mogliby wielcy dyktatorzy Europy szukać odpowiedniej formuły konstata-

cyjnej po Londynach, Paryżach, Berlinach, Rzymach, Moskwach i Bukaresztach. Wszak z reguły tak bywa — nieprawda? Beatus qui tenet, oto alfa i omega współczesnej sztuki dyplomatycznej.

Mamy wrażenie, że Polska zrobiła swoje, koncentrując odpowiednie siły nad granicą i dając tem samem do zrozumienia wszystkim sąsiadom, że nie dopuści do postronnego napadu na Węgry. Wiemy nawet, że dowiodła tego pewnym czynem, o którym tu nie wypada nam się rozpisywać. No, ale ostatecznie rewindykacja wewnętrzno-karpackich krajów Korony św. Szczepana jest i pozostanie sprawą siły zbrojnej Węgier. Trudno żądać od Polski, aby wkraczała zbrojnie poza Karpaty, krwawiła się tam bezinteresownie, a potem oddawała Węgrom na półmisku gotowe potrawy ruskie i słowackie, wracając z kwitkiem do domu.

Za pozwoleniem!

Minęły już dawno na szczęście idealistyczne czasy Sobieskiego, który krwawił się pod Wiedniem i Parkanami dla perfidnych Austrjaków i Czechów po to, aby odejść z kwitkiem, zlekceważony impertynencko przez Leopolda i aby dzisiaj bezczelnie Wiedeńczycy i Czesi przypisywali sobie na cały świat zwycięstwo pod Wiedniem, lekceważąc „uboczną pomoc jazdy polskiej". Wszak nawet Kamieńca Podolskiego nie odzyskał Sobieski swą tryumfalną wiedeńską imprezą. A przesłanie do Rzymu chorągwi proroka i wyprawienie miłosnego listu do Marysieńki z namiotu wielkiego wezyra — to stanowczo za mało dla trzeźwo myślących Polaków XX-go wieku!

Polska — choć ją „Nasza Przyszłość" i tak o zbytnią płochliwość wciąż oskarża — robi jednak wielkie rzeczy zbrojąc się od stóp do głów za ostatnie grosze zbiedzonego obywatela i dzieląc straszne kleszcze rosyjsko-niemieckie odpowiednią polityką. Przypominamy zdecydowaną odpowiedź, jaką parę miesięcy temu dała Sowietom. Ale za darmo kasztanów z pieca dla nikogo wyciągać nie będzie i nie może. A naród, który pragnie, jak Węgrzy, mocarstwowego odrodzenia, musi w pewnych momentach „rzucić swój życia los na stos", jak to zrobiły legjony Piłsudskiego. Audaces fortuna iuvat. Innej metody niema w decydujących momentach prawdziwie żywotnych narodów.

I tu, jak zawsze prawdę mówimy w oczy Polakom, tak i naszym przyjaciołom Węgrom musimy prawdę w oczy powiedzieć. Dlaczego Czesi przestali być narodem? Bo niedawno

temu na swych, zresztą doskonale ufortyfikowanych szańcach nie umieli stworzyć narodowej legendy obrony ojczyzny do ostatniej kropli krwi. Nie poszli za przykładem podwarszawskiej reduty Ordona, ale zwiali tchórzliwie, bez wystrzału, ze swej „linji Maginota". Chwilowa przemoc obca, to nic, jeżeli się jest naprawdę narodem. A Czesi dowiedli, że są tylko szczepem, bezwolnym, zdolnym żyć tylko pod cudzą mocą: Austrji, czy francuskiej masonerji, czy Moskwy, czy wreszcie Berlina.

O Węgrach chcemy mieć jednak inne wyobrażenie. Jako prawdziwi ich przyjaciele — w obopólnym interesie — uważamy za stanowczy błąd aktualistycznej ich dyplomacji, że tandem tedy Niemcom się poddali. Bo już raz zaznaczyliśmy na łamach tego wydawnictwa wyraźnie, że regulowanie stosunków z Niemcami w środkowo-wschodniej Europie jest od tysiąca lat wyłącznem zadaniem Polski. Jeżeli Węgrzy zechcą — w całkiem niepotrzebnym strachu przed Rumunami, czy Serbami, czy kimkolwiek innym — stosunki z Niemcami na własną rękę regulować, to niech wiedzą, że otwierają najszersze wrota inwazji niemieckiej i że „Państwo Korony św. Szczepana" staje się fikcją.

Jakkolwiek bądz, „Nasza Przyszłość" nie traci z oka planu Bloku państw środkowo - wschodniej Europy z jego główną osią: żelazną belką Warszawa — Budapeszt. Tymczasowe aktualja dyplomatyczne i sytuacje międzynarodowe wcale nas z tej drogi nie wytrącają. Wspólna granica polsko - węgierska musi rozciągnąć się na przestrzeni nietylko Rusi Zakarpackiej, ale i Słowaczyzny. Sprzeciwiamy się stanowczo oportunistycznym, defetystycznym głosom pewnych organów polskiej prasy, jakoby ta wspólna granica była już „sprawą pogrzebaną". Nieszczęściem narodu węgierskiego jest od pół wieku tylko to, że jego różni mężowie stanu ciągle chorują na grypę niemiecką w naiwnem mniemaniu, że im Prusak może dopomóc w ich aspiracjach narodowych.

Przed wojną światową kokietowali ministrowie węgierscy z Berlinem przeciw słabemu Wiedniowi, rachując na to, że grenadjer pruski obroni ich nietykalne tabu dualizmu przed słabym w gruncie rzeczy Wiedniem. Po wojnie trwają węgierscy ministrowie spraw zagranicznych wciąż w upartej narkozie, że niemiecka pikelhauba obroni ich (za darmo!) przed Czechem, Moskalem, Serbem, Rumunem i niewiadomo kim jeszcze. A tymczasem naród, pozostający wciąż we freudowskim „kompleksie strachu", nie może mocarstwowo się rozwinąć! Pierw-

szym więc warunkiem prawdziwego odrodzenia Węgier jest: zduszenie własnego germanofilizmu, pozbycie się kompleksu strachu i wdrożenie własnej, niezależnej, zdecydowanej polityki.

A wówczas żaden żelazny krok teutońskich zastępów, nie rozlegnie się na węgierskiej ziemi. Prusak nie wyruszy na orężne zdobywanie Budapesztu. A z p. p. Sidorami i Wołoszynami da sobie Węgier aż nadto dobrze radę. „Niebezpieczeństwo“ zaś rumuńskie czy rosyjskie niech pozostawi spokojnie Polsce do załatwienia. Wszak istnieje jeszcze Besarabja i Bukowina...

Powiedzieliśmy dość. Sapienti sat.

I tylko jeden jeszcze postulat na tem miejscu powtarzamy — unja Polski z Węgrami na odpowiednich zasadach jest niezbędnym nakazem nowoczesnych dziejów.

REDAKCJA.

„Braterstwo Religji".

Ponieważ czerwona agitacja zarazy komunistycznej coraz mniej obecnie może liczyć na powodzenie w krajach „faszystowskich", więc na pomoc jej pośpieszyły nieznane dotąd szerszemu ogółowi i pod nęcącemi nazwami ukrywające się organizacje masońskie, pokrywające pajęczą siecią swych rozgałęzień społeczeństwa chrześcijańskie i pozornie niby nie kolidujące z zasadami wiary i moralności, jakimi społeczeństwa te kierowały się w ciągu długich wieków swego istnienia. Wciągają je powoli w orbitę swoich wpływów, wypaczają ponętną wizją sofistycznych idei poczucie zdrowego rozsądku i stopniowo realizują rzeczywistość swego dążenia, którego celem jest najwyższą dające potęgę — Władztwo nad Duszami. Jedną z takich organizacyj, nawiasem mówiąc organizacyj żydo-masońskich, jest Stowarzyszenie Światowego Braterstwa Religji, powstałe oczywiście w Ameryce, którego kulisy zostają odsłonięte w artykule niniejszym przed nieświadomym jego prawdziwych celów społeczeństwem polskim.

Otóż na podstawie informacyj, podanych przez prezesa angielskiej Sekcji Stowarzyszenia Światowego Braterstwa Religji (Fellowship of Faith), sir Francis'a Younghusband'a założycielem Stowarzyszenia był Kedernath Das Supta z Bengalu wraz z Amerykaninem Charlesem Wellerem, członkiem Ligi Sąsiadów ((Leage of Neighbours).

W roku 1893 zebrał się w Ameryce pierwszy parlament religijny. W roku 1904 w Paryżu rozpoczął sesje Międzynarodowy Kongres Historji Religji, który później zbierał się w Bazylei, Oxfordzie i Leidenie. W roku 1924 odbyła się konferencja Żyjących Religji Imperjum Brytyjskiego, a przed tym jeszcze, w roku 1923 — Kongres Światowego Braterstwa Religji. Drugi Kongres odbył się w r. 1934 w Chicago pod przewodnictwem Herberta Hoovera, byłego Prezydenta Stanów Zjednoczo-

nych i komunistki Jane Adams. Międzynarodowym Prezy=dentem Braterstwa Religji był niejaki Maharajah Gaekwur of Barada. Następny Kongres odbył się w Londynie w roku 1936.

Sukces żydo=masonerji był o tyle wyraźny, że nastąpiło wtedy połączenie się trzech towarzystw: Unji Wschodu i Zachodu (Union of East an West), Ligi Sąsiadów (Leage of Neigh=bours) i Braterstwa Religji (Fellowship of Faits).

Unja Wschodu i Zachodu założona została w r. 1910 przez Kedernath Das Supta, członka Zarządu Ligi Przeciwników Wojny, propagującej jednak zbrojną rewolucję proletarjatu.

Członkami czynnymi tej ligi są:

1. *H. G. Wells* — socjalista, członek Kift Kindred, członek loży „Clarté" (1919) z siedzibą w Paryżu, podległej Wiel=kiemu Wschodowi Francji i Towarzystwu dla Kultural=nej współpracy z Sowietami.
2. *Keir Hardie*, członek Independent Labour Party (Nieza=leżna Partja Pracy).
3. *Mrs. Annie Besant*, socjalistka i członek Socjal=Demokra=tycznej Partji, prezeska Teozoficznego Towarzystwa i człon=nek masonerji.
4. *Sir Rabindranath Tagore*, założyciel Czerwonej Szkoły w Indiach, członek Kibbo Kift.
5. *Mrs. Pethwick Lawrence*, członek Towarzystwa Teozoficz=nego Kibbo Kift i masonerji, sekretarka Międzynarodo=wej Ligi Kobiet, współpracowniczka Jane Adams.
6. *Felix Adler*, prezes Ethical Culture Society w Nowym Jorku.

Założycielem następnego Stowarzyszenia — Ligi Sąsiadów, jest komunista Charles Weller i niejaki Harding.

Członkowie:

1. *Rabin Wise*, wróg Polski, przewodniczący Komitetu Wy=konawczego Sjonistów, członek Federacji Pokoju i innych komunistycznych organizacyj, prezydent Światowego Ży=dowskiego kongresu w Genewie, który odbył się w roku 1936.
2. *Ksiądz katolicki*, Ryan, współpracujący z rabinem Wise.
3. *Upton Sinclair*, członek Zarządu Międzynarodowej Unii Rewolucyjnych Pisarzy.
4. *Pani Sun=Yat=Sen*, żona pierwszego komunistycznego pre=zydenta Chin.

Należy zaznaczyć, że wszyscy wyżej wymienieni współpracują z Amerykańską Unją Obywatelskich Swobód (American Civil Libertees Union).

Trzecie z kolei Stowarzyszenie, Braterstwo Religji, założone zostało przez Das Gupta i Charlesa Wellera w roku 1924 i do tej pory posiada już w Ameryce 38515 członków.

Teozofję w Braterstwie reprezentuje Annie Besant, Buddaizm — Amagariko Dharmapole z Ceylonu, religję Zoroastra — Dr. A. D. Iille, Mahometanizm — Maulvi A. R. Dard, Judaizm — Rabin A. A. Sheen, Spirytyzm — nieżyjący już Sir A. Conan Doyle.

Braterstwo Religji od roku 1926 jest w bliskich stosunkach z Braterstwem Różokrzyżowców, z Nowym Związkiem Myśli oraz z komunistycznym Braterstwem Porozumień i z ateistą-renegatem, biskupem Montgomery Brownem.

Braterstwo Religji jest Stowarzyszeniem pojęć zarówno nieprzeciętnie nonsensowych, jak i pojęć, opartych na zdegenerowanym podłożu masońskich systemów opanowywania dusz ludzkich. *Przykładem oświetlającym powyższe twierdzenie jest fakt gorącego przyjęcia i uznania za religję ateizmu komunistycznego na Kongresie Braterstwa* w Chicago w r. 1933.

W Kongresie tym między innymi brali udział:

1. *Jane Adams*, która była współpracowniczką Lenina i publicystką prasy komunistycznej. Przyjaciółką jej jest Rosika Schwimmer, która w roku 1918-19 brała udział w rewolucji komunistycznej na Węgrzech. Obie współpracowały z P. Pachnerem, kierownikiem berlińskiego biura Kominternu.
2. *Dr. Newton D. Baker*, autor, polecany przez wydawnictwa komunistyczne.
3. *Dr. Glenn Frank*, prezydent Czerwonego Uniwersytetu w Wisconsin.
4. *Dr. Jahn Lapp*, członek Wszechamerykańskiej Ligi przeciwko Imperjalizmowi.

Głównym mówcą na Kongresie był wymieniony już wyżej Montgomery Brown, przewodniczący Międzynarodowej Pomocy dla Komunistycznych Robotników, ateista, pozbawiony godności biskupa za herezję ateizmu. Mowy jego były drukowane pod tytułem: „Komunizm — Nowa Wiara dla Nowego Świata".

W jednej ze swych mów powiedział on:

> „Jeżeli którykolwiek Rząd, Kościół lub Instytucja stają na drodze temu komunistycznemu Rządowi (Sowiety) — winny być bezlitośnie zniszczone... Wtedy powstanie prawdziwe Braterstwo Religji".

Protektorami Braterstwa są między innymi: Dziekan z Canterbury — przyjaciel Z. S. R. R. i oczywiście mason, dziekan z St. Paul, mason, Sir Herbert Samuel — mason i syjonista oraz dygnitarz z Y. M. C. A., mason Dr. W. H. Drummond.

Kraj rozwydrzonych namiętności ludzkich, rozprzestrzeniających się bez przeszkód i bez kontroli — Stany Zjednoczone Ameryki Północnej i kraj ginący pod panowaniem okrucieństwa wschodnich barbarzyńców — Rosja Sowiecka, podały sobie ręce i do swej szajki wciągnęły Wielką Brytanję. jawnie już rządzoną przez Żydów i opanowaną przez żydowski Wielki Wschód — Francję. Braterstwo Religji jest otwarcie wysuniętym oddziałem zakonspirowanej mafji żydo-masońskiej, propagującej pod hasłami duchowego zjednoczenia religijnego życia narodów nic innego, jak tylko ordynarną międzynarodówkę bolszewicką, starającą się wszelkimi siłami powstrzymać swoje upadające już wpływy i zanikający prestiż.

Żaden ruch polityczny, społeczny czy religijny nie może opierać się tylko na swoich przywódcach: dla podtrzymania swej żywotności i ewolucyjnego rozwoju potrzebny jest mu materjał ludzki i to nie materjał, którego wartość liczbowa zamyka się w jednej skończonej całości, bo wtedy kamienieje i staje się organizmem zamkniętym, ignorowanym i z biegiem czasu niedostrzeganym przez społeczeństwo. Takim właśnie organizmem jest międzynarodówka żydowsko-masońska, która rozwijając się kiedyś pomyślnie — zaskorupiała później i nie tylko, że nie zatrzymała się na jednym punkcie, lecz zaczęła cofać się pod względem materjału ludzkiego zarówno ilościowo, jak i jakościowo. Historja sprawy czeskiej była porażką przygniatającą dla masonerji, wierzącej jeszcze w swoje wpływy i nienaruszalną potęgę.

Niebezpieczeństwo zaskorupienia się było alternatywą, która mistrzów lożowych jednak zaniepokoiła i spowodowała, że postanowili oni wyjść z tajemniczych mroków żydowskiej kabały i zacząć skupiać społeczeństwa w stowarzyszenia, organizacje i sekty religijne, z tym jednak, że kierownikami ich będą tylko masoni wyższych stopni.

Jasnem jest, że masy zrzeszone w tych organizacjach nie wiedzą, iż tworzą t. zw. „nieświadome loże masońskie"; wiedzą o tym tylko ich przełożeni organizacyjni, traktujący swój materjał ludzki jako bezmyślne narzędzie propagandy ateizmu, komunizmu i niezmiernie liberalistycznie spreparowanych zasad etyki towarzyskiej i rodzinnej. Są to jakby przedszkola dla przyszłych kandydatów na „braci", wyławianych z pośród najbardziej obiecujących wychowanków i nie uświadamiających sobie zupełnie, że wstępując w najlepszych intencjach do organizacji np. takiej jak Y. M. C. A. — są równie ściśle, jak i dyskretnie obserwowani, poczynając od pierwszych swoich kroków na nowym terenie. W wypadku, gdy swą indywidualnością zaczynają budzić zainteresowanie ogółu i rosnąć w znaczenie — podciąga ich się wyżej i zobowiązawszy przed tym moralnie lub materjalnie — dopuszcza się do przysięgi i obrzędów, związanych z przyjęciem kandydata do pierwszego stopnia loży masońskiej. A dalszego dzieła ogłupienia nowoprzyjętego masona dokonywuje się przy pomocy pewnych obrządków, odbywających się według rytuału, związanego z pierwszymi wtajemniczeniami w żydowską kabałę.

Towarzystwa: Unja Wschodu i Zachodu, Liga Sąsiadów, Braterstwo Religij oraz Y. M. C. A. są najważniejszymi, jawnymi „przedszkolami" tajnych mafij żydo-masońskich w Ameryce, współpracujących z bolszewizmem i najwybitniejszymi przedstawicielami ateizmu. W Polsce organizacje te nie istnieją pod swymi właściwymi nazwami, z wyjątkiem Y.M.C.A., ale expozytury ich po całym kraju są rozsiane w postaci sekt, reprezentujących niezliczone odłamy horendalne bezsensownych „religij" i „wyznań", produkowanych *en gros* przez żydów z amerykańskich lóż masońskich. Fakt ten nie jest bynajmniej paradoksem i wystarczy tylko pójść do pierwszej lepszej sekty, przypatrzyć się obrządkom i wysłuchać „kazania", aby odnieść wrażenie, że jest się albo w żydowskiej synagodze, albo na wiecu komunistycznym. Członkowie tych sekt rekrutują się przeważnie z ludzi, łowiących ryby w mętnej wodzie, lub z ludzi, których umysły łatwiej lgną do płytkiej, brudnej i głupiej przy tym mistyki, niż do pełnej, dostojnej prostoty nauki Kościoła katolickiego.

Sekciarstwo w Polsce rozprzestrzeniło się najbardziej na Kresach Wschodnich i ma ono tam raczej charakter polityczny, niż religijny. Założyciele i „kapłani" sekt — to agenci Kominternu,

rozpowszechniający żydowską ewangelję Mardochaja (Marxa) pod osłoną ciemnego fanatyzmu religijnego, najlepiej przemawiającego swoją barbarzyńską formą do zacofanej umysłowości analfabetów kresowych.

Jeżeli szerzenie propagandy komunistycznej można u nas uważać za objaw normalny, to zbyt tolenrancyjne ustosunkowanie się polskich czynników miarodajnych do zagadnienia rozwoju zamaskowanych jaczejek bolszewickich na ziemiach, które powinny być szczególną otoczone opieką przed wpływami obcych agentur — należy poddać odpowiedniej krytyce i zażądać natychmiastowego zastosowania sankcyj, likwidujących wszelkie stowarzyszenia sekciarskie legalne i nielegalne, bez względu na to, czy ustosunkowanie się ich do Państwa podlega jakimkolwiek zastrzeżeniom. Podobnej krytyte należy poddać również horendalny fakt udzielania państwowych subwencyj dla niektórych wydawnictw, szerzących, pod pokrywką kulturalno-literacką, komunistyczną zarazę.

Braterstwo Religij nie tylko jest kondensatorem sekciarstwa — to przedewszystkiem mafja, pozostająca pod dyrektywami międzynarodowych, żydo - masońskich agentur, rozprzestrzeniająca w doskonale zamaskowany sposób agitację kominternowską. Idąc od Y. M. C. A., z którą młodzież szkolną pod presją jest zmuszona utrzymywać kontakt, przez labirynty wolnomyślicielskich, super-liberalnych stowarzyszeń i organizacyj, przedzierając się przez gąszcza fałszywych dogmatów, wśród których nie próbujący samodzielnej analizy umysł napróżno błąka się, szukając realnego punktu zaczepienia, ażeby wyjść z tego sztucznie wytworzonego przez żydostwo chaosu—spostrzegamy wreszcie tą sieć, cienką i subtelnie splecioną dla inteligencji, degenerującej się w kabalistycznych obrządkach lóż masońskich oraz dla ciemnego, zaślepionego fanatyzmu przeznaczoną, grubą sieć socjalistycznych mrzonek i sekciarskiego rytuału. Związane są one z sobą nierozdzielnie, a nici od nich idące zbiegają się w żydowskich bankach nowojorskich Warburga, Kuhn, Loeb & Co, Jakóba Schiffa itp. Tam należy szukać przyczyn wszystkich zbrodni, dokonywujących się na żywych organizmach społeczeństw chrześcijańskich i tam siedzi Największy Przełożony lóż masońskich całego świata, definiujący rzeczywistość swej potęgi jedynie w postaci ohydnego, shylockowskiego kultu dla złotego cielca.

Wskazywał już wyraźnie Marszałek Piłsudski w stronę tych

centralnych, wrogich Polsce żydomasońskich agentur. Chciał uwolnić Polskę od ich wpływów, ale sił już mu zabrakło, bo zdążył już zostawić je w błotach okopów i w lochach więziennych. Lecz rwanie sieci otaczających nas, szatańskich wpływów żydowskich międzynarodówek pozostawione jest każdemu, kto czuje się Polakiem, a jeżeli będzie nam kto przeszkadzał w tej pracy — jako zdrajcy odebraną zostanie mu nazwa Polaka i miejsce w Ojczyźnie i wtedy z piętnem wyklętego niech idzie szukać dla siebie przytułku w internacjonalistycznych zbiorowiskach judeo-czerwonego mafijnictwa.

Mieczysław Porębski.

Ogólne zagadnienie i działalność Białorusinów

(Zarys historyczny)

Białorusini na wspólny teren historyczny z Polską weszli faktycznie dopiero od zawarcia unii Litwy z Koroną. Przed tym tworzyli Wielkie Księstwo Litewsko - Białoruskie, a po wyżej wspomnianej unii dostali się pod wpływy polskie, zachowując jednakże własną autonomię.

Najsilniejsze wpływy kulturalne i rycerskie wypromieniowywała wówczas na tych ziemiach szlachta polska, rozsiadła po stanicach, które były na rubieżach Rzeczypospolitej prawdziwymi twierdzami polskości.

Będąc częściowo składnikiem państwa polskiego, Białorusini częstokroć ręka w rękę z rycerstwem polskim odpierali napady wschodnich i południowych najeźdźców, tworząc tym samym chlubne karty historii rycerskiej.

Białorusini pod panowaniem polskim szybko się rozwijali. Lecz tolerancja, jaką się cieszyli, nie wyszła Polsce na korzyść. Świadczy o tym powstanie w roku 1640, kiedy chłopstwo zaczęło palić dwory, mordować szlachtę, a nawet niszczyć i rabować kościoły. Powstanie to inspirował i wspomagał Bohdan Chmielnicki, posyłając zrewoltowanej tłuszczy oddziały kozaków. Po dłuższym czasie książę Radziwiłł zdołał stłumić to powstanie, które co raz słabiej zasilane przez wrogiego atamana zwolna gasło. Stało się to jeszcze tym łatwiej, że wyższe sfery białoruskie, widząc przewagę wojsk szlacheckich, szybko polonizowały się, lud zaś począł rezygnować i znów poddawać się niewolnictwu i jarzmu.

To też Białorusini zostali zaskoczeni faktem rozbioru Polski. Rosja zagarnąwszy ich, nie oszczędziła ich w swej ostrej kampanji rusyfikacyjnej, tępiąc w nich nie tylko pierwiastki narodowe polskie, którymi zostali przeniknięci, ale i rdzennie białoruskie. Kampanji tej ulegli w pierwszym rzędzie prawosławni, gdyż rusyfikacja płynęła dwoma korytami: państwowym i cerkiewnym. Więcej odporni byli katolicy, których podtrzymywał Koś-

ciół, jako skarbnica słowa polskiego, bądź też białoruskiego. Rozbiory te tchnęły i w ludność białoruską powszechny odruch protestu, czego dowodem jest udział Białorusinów w powstaniach narodowych polskich. Ale rzecz zrozumiała, na dnie serc białoruskich tętniło pragnienie, by po wyparciu Rosjan stworzyć własne, niezależne państwo.

Największy udział w powstaniu Biaołrusini wzięli w roku 1863, kiedy to na Białorusi i Litwie stał się dyktatorem Kastuś Kalinowski. Wprawdzie miał on kontakt z Centralnym Narodowym Komitetem Powstańczym w Warszawie, otrzymał od niego pomoc moralną i materjalną, ale jednakże dążył do tego, by z powstania wyciągnąć korzyści wyzwoleńcze dla swego narodu, czego dowodem są jego słowa w wydawanej przezeń gazecie białoruskiej, p. t.: „Mużyckaja prawda". W numerze 7-ym (ostatnim) pisze:

...„Pomogliby i nam Francuzi, jak pomagają chłopom w Polsce, ale nasi chłopi milczą, więc car mówi, że są oni zadowoleni... Stańmy wszyscy razem za naszą wolność... A będzie wolność, jakiej nie mieli nasi ojcowie i dziady"...

Te słowa wymownie świadczą, że Kalinowski uważał Białorusinów za naród samodzielny i odrębny, zdolny do bytu samoistnego.

Wszystkie poprzednie numery powyższego pisma treścią były podobne jeden do drugiego mniej lub więcej, wzywając do niepłacenia podatków carskiemu rządowi i panom. W jednym z nich omawiał ponadto i sprawy religijne.

Wysłany przez rząd carski do Wilna Murawjew, na stanowisko generał-gubernatora, długo nie mógł opanować powstania i schwytać jego przywódców, którzy po gąszczach leśnych, dobrze zorganizowani, robili wypady, to znów bronili się zwycięsko, nie mogąc pogodzić się z upadkiem powstania. Król — już tak nazywano Kalinowskiego — mimo młodego wieku, sprytnie konspirował się sam, jako też i swoje powstańcze oddziały.

Dopiero w styczniu roku 1864 jeden z jego współpracowników, niejaki Parafianowicz, został schwytany, a zasypany obietnicą darowania mu życia przez żandarma pułkownika Łosiewa — wydał, wskazując, że wódz znajduje się w świętojańskich murach i kryje się pod pseudonimem Witolda Witażeńca. Pod tym adresem Kalinowskiego schwytali i osadzili w murach Dominikańskich, gdzie trzymali go przez kilka tygodni, starając

się wyciągnąć od niego wszystkie dane, dotyczące tajnych organizacyj. Kalinowski pełen hartu ideowca ostro odmawiał wszelkich zeznań. W dniu 10 marca 1864 roku został powieszony na placu Łukiskim w Wilnie.

W ostatniej chwili przed straceniem w odezwach, zatytułowanych: „Pisma spod szubienicy", Kalinowski pisze:

> „Narodzie, gdy tylko usłyszysz, że bracia twoi spod Warszawy biją się za prawdę i wolność, wtedy i ty nie zostań w tyle, a chwyciwszy za kosę, siekierę, za co tylko możesz, całą gromadą idź wojować za swoje ludzkie i narodowe prawo, za swoją rodzoną ziemię"...

Po Kalinowskim godnym jego następcą, który przejął i kultywował ideę swego poprzednika, był Ignacy Hryniawicki, wznawiając po 15-tu latach proklamację wolności Białorusi. Będąc na studiach w Petersburgu organizuje Komitet, który stawia sobie za zadanie iść i oswobodzić lud białoruski. W czasie wakacyj jedzie na wioski, gdzie także przeprowadza organizacje przez całe lato i szerzy nienawiść do wszystkiego, co jest obce.

W roku 1880 jesienią, kiedy wrócił znów do Petersburga na studia, wstępuje do rewolucyjnej organizacji rosyjskiej, a w dniu 1-go marca następnego roku dokonuje bombowego zamachu na cara Aleksandra II, zabijając go, a odłamek bomby trafia jego samego i rani śmiertelnie. W kilka godzin po tym umiera nie rozpoznany, kto on, skąd i jakiej narodowości.

W tymże czasie Komitet Białoruski wydaje pismo pt.: „Homan" w języku rosyjskim, oczywiście nielegalnie, z ideologią swych poprzedników.

Gnieciona przez carat ze wszech stron wszelka praca narodowa i polityczna, rozwija się nadal, jednak bez jakichkolwiek większych, widocznych osiągnięć. Dopiero w roku 1905 Białorusini ożywiają się i biorą udział w powstaniu już całkiem otwarcie. Idą razem z powstaniem polskim, lecz mając już wytyczoną całkowicie, jako cel, niezależność Białorusi.

Po zgaszonym powstaniu nadal praca wre nielegalnie wspólnie z polskimi organizacjami, jako dwóch narodów i praca ta odbywa się przeważnie na terenie Rosji, co było znacznie lżej, albowiem była ona wspomagana przez rosyjskich rewolucjonistów.

Polityczne wrzenia na Bałkanach zwiastowały bliskość wojennej zawieruchy. Baczni obserwatorzy-działacze, wśród których było wielu przewidujących polityków, spodziewali się, że

niezadługo nadarzy się okazja, kiedy będzie można rozpocząć prace, zdecydowanie zdążające do realizacji narodowych pragnień i zamierzeń.

Istotnie, wreszcie wybuchła oczekiwana wojna światowa, która otwiera oczy wszystkim niewolnym narodom. Nadchodzi czas zrealizowania pięknych idei niepodległości różnych drobnych narodów, które wyzwala spod jarzma runięcie trzech potęg zaborczych.

Białorusini, walcząc w ich armiach, całą myślą skierowani są, by odbudować własny kraj, by zobaczyć wreszcie ojczyznę swoją wolną i niepodległą po tylu latach niewoli. Walki na obcym gruncie, za obce sprawy stają im się coraz dalsze, a w sercach rosną i potężnieją hasła: „Wolnaja Białoruś".

Już w roku 1915 z inicjatywy Białorusinów powstaje w Wilnie t. zw. „Konfederacja Wielkiego Księstwa Litewskiego", zadaniem której było oswobodzić Litwę i Białoruś. Wydaje odezwy w językach dostosowanych swojemu ludowi i szerzy świadomość niepodległości wśród najszerszych mas. Pracując nie separuje się także od polskich organizacyj politycznych, ale wspólnie odbywają wiece i omawiają sprawy utworzenia federacyjnej republiki.

Te zamiary były początkowe, później jednakże, w październiku roku 1917, z różnych organizacyj białoruskich powstaje „Wielka Białoruska Rada", zwołująca zjazd „Białoruskiej Socjalistycznej Hromady", która była zorganizowana jeszcze przez studentów w roku 1902 i nazywała się wówczas: „Białoruska Rewolucyjna Hromada". Powstała ona pod wpływem twórczości Bohuszewicza oraz idei Kalinowskiego i Hryniawickiego. Pracowała wydajnie do roku 1906, po czym, zapędzona całkowicie pod ziemię przez rząd carski, osłabła i wydajność jej pracy zmniejszyła siz w bardzo wielkim stopniu.

I właśnie na omawianym zjeździe, który odbył się w Mińsku, wśród Białorusinów nastąpił częściowy rozłam. Jedni przyjęli ideologię komunizmu, drudzy nadal zostali wierni swym poglądom demokratyczno-niepodległościowym, kładąc osobliwe zasługi na zwołanie wielkiego t. zw. „Usiebiełaruskaha Kanhresu" w Mińsku. Na kongres ów przybyło około 2-ch tysięcy delegatów, cywilów i wojskowych różnych sfer. Kongres trwał od dnia 5 do 17 grudnia 1917 r. Wybrano na nim „Komitet Wykonawczy" i powierzono mu przygotowanie tymczasowej Konstytucji. W ostatnim dniu, z 17 na 18 grudnia, kiedy komitet ogłaszał

już pierwszy punkt Konstytucji, oblegli miejsce kongresu bolszewicy, udaremniając ucieczkę bronią maszynową. Czołowych działaczy zatrzymali, resztę zaś rozpędzili, grożąc w razie oporu użyciem broni. Rzecz jasna, że dla bolszewików byłby to cios ogromny, gdyby dopuścili do pracy samodzielnej Białorusinów. Jednakże „Komitet Wykonawczy", wierny swemu ludowi, który powierzył mu ciężkie nader zadanie, pracuje nadal z wytężeniem i pełen zapału nad odbudową zniszczonego i zdeptanego przez najeźdźców kraju. Literatura jeszcze przed tym już dobrze uświadomiła narodowo i społecznie, szerząc świadomość, że i Białoruś powinna mieć te same prawa i byt, jak i wszystkie inne narody słowiańskie. Szli więc ze słowami na ustach największego swego piewcy Janki Kupały:

„Padymajsia z nizin, sakalina siamja,
Nad kryżami baćkow, nad kurhanami!
Zanimaj, Biełaruś maładaja maja,
Swoj paczesny pasad miż sławianami".[1])

Wreszcie żołnierze bolszewiccy, widząc nieład u siebie wewnątrz, walkę różnych przywódców o zdobywanie władzy, cofają się w głąb kraju, zostawiając na Białorusi bezkrólewie. Korzysta z tego „Białoruska Rada", obejmuje władzę i gorączkowo przygotowuje się do zwołania Sejmu w jaknajszybszym czasie i ustanowienia rządu białoruskiego. Jednak nie zdążyli, gdyż 25 lutego 1918 roku Niemcy zajęli Białoruś ze stolicą, gdzie grupowały się wszystkie siły „Białoruskiej Narodowej Republiki". Oczywiście po zajęciu Niemcy nie uznali rządu białoruskiego, a podpisując z Bolszewią i Ukrainą akt zawarcia pokoju, dzielą Białoruś na wiele części.

„Rada Białoruskiej Narodowej Republiki", widząc tragiczny los swojego kraju, który gotują możni władcy, postanawia wszelkimi siłami bronić się. I aktem z dnia 25 marca 1918 roku ogłasza niezależność Białorusi, po czym tworzy rząd z gabinetem ministrów, wysyłając nawet placówki kulturalne zagranicę.

Teraz zaczyna się gorączkowa praca, do której wszyscy lepsi synowie tej ziemi garną się, lecz poglądy polityczne różnych osobistości poczęły się różnić, dzięki czemu słabły zwarte siły. Starali się o to w pierwszym rzędzie bolszewicy, komunizując wpływowe jednostki i rozbijając front narodowo-wyzwoleńczy. Ci,

[1]) Z dolin się podnoś sokola rodzino, nad ojców krzyżami, nad kurhanami! Obejmuj, Białoruś ty młoda moja, honorowy swój tron wśród słowian.

którzy nie zdecydowali się iść pod czerwonym sztandarem, spostrzegli, że siła ich słabnie, zmuszeni więc byli szukać rady i pomocy w sąsiedztwie i mimo wielkiego zbliżenia religji i obyczajowości z Rosją Sowiecką, rezygnują z wszelkiej jej pomocy, a szukają jej u Polaków. Współpracują z Polską na różnych odcinkach, widząc w niej nadomiar opiekunkę i swoją powiernicę, która silnie i szybko poczęła budować niepodległość. Na pomoc ze strony Polski Białorusini liczyli najwięcej, jeżeli już nie zupełnie, by stanęła Białoruś na własne nogi, a choćby przynajmniej stworzyć autonomiczną federację z Polską.

Wreszcie nadchodzi okres walk armji polskiej z bolszewikami. Białorusini przechodzą znów, jak za czasów wojny niemiecko-rosyjskiej, z rąk do rąk. Zaczynają więc organizować swoje wojsko, powszechnie zwane: „Zielone“, stawiając opór najazdom bolszewickim. Jednak silne armie z jednej i drugiej strony nie dają im rozwinąć swej akcji, a zapalona młódź do walk niepodległościowych, nadomiar nieumiejąca się obchodzić z bronią... a i brak był takowej, kładzie się pokotem pod ogniem nieprzyjaciela.

I mimo braku, jak ekwipunku wojennego, tak i wyszkolonego żołnierza, duchem podtrzymują się Białorusini rycersko. I to jedynie ich ratowało, gdyż pomocy znikąd żadnej nie mieli, albowiem przez tyle lat niszczenia kraju ludność wieśniacza nie miała żadnych środków możności przynieść walczącym jakiejkolwiek pomocy.

Traktat Wersalski, zawarty 28 czerwca 1919 roku, nie przyniósł nic dobrego Białorusinom. Bolszewicy po zajęciu ziem Białorusi ogłosili ją wprawdzie „Niezależną Sowiecką Socjalistyczną Republiką“, lecz tym niezadowolili przywódców, ani też ludu, który spodziewał się większych korzyści od Polski.

Zielone wojska nie schodzą z widowni, nadal bohatersko walczą, zadając bolszewickiej armji to tam, to ówdzie ciężkie straty, wspomagając zatem armję polską. Niektóre zaś oddziały przechodziły i poddawały się dowództwu oficerów polskich, z czego później utworzono 19 dywizję wojsk „Litewsko-białoruskich“.

W roku 1920 organizuje się „Słuckie powstanie“ znów przeciw bolszewikom. Pod kierownictwem Żawryda powstaje „Nacjonalny Słucki Komitet“ i w listopadzie 1920 r. zwołuje zjazd w Słucku, na który przybyło także 10 delegatów od wojska polskiego, armji Bałachowicza.

Później tworzy się białoruska armja, jądrem której była narodowa milicja, mając zaledwie 500 karabinów ręcznych. Lecz czas był krótki, gdyż bolszewicy byli już na rubieżach Białorusi i milicja musiała cofnąć się do miasteczka Siemieżawe. Tu szybko wzmacniają się, organizując przeszło 10 tysięcy żołnierza. Formują się pułki, pierwszy słucki z narodowej milicji pod dowództwem pułkownika Hawryłowicza, który odrazu wystąpił z bronią przeciw bolszewikom. W międzyczasie powstaje pułk z młodzieży pod dowództwem kapitana Siemieniuka.

Połączone pułki utworzyły t. zw. „Pierwszą Słucką Dywizję", która pełna zapału i hartu w dniu 27 listopada 1920 roku ruszyła w bój z krociową armją bolszewicką. Poczęły się toczyć walki, z których wojsko białoruskie początkowo wychodziło zwycięsko. Bolszewicy zmęczeni ciągłą wojną, poddawali się lub też unikali przelewania krwi. Dopiero kiedy nadciągnęły chmary oddziałów komunistycznych, które bezlitośnie zaczęły niszczyć mienie, palić wioski i zabijać każdego cywila napotkanego w młodym wieku, wojsko białoruskie załamało się.

Nie mając znikąd żadnej pomocy, przy braku amunicji i żywności, zadecydowało o losie stawiania oporu masom czerwonych. Wprawdzie była „Białoruska Wojskowa Komisja" w Łodzi, lecz ta wydała tylko rozkaz walczenia do ostatka sił i wprowadzenia do armji wojskowego rygoru, nic pozatym. A dnia 28 grudnia 1920 roku „Dywizja Białoruska" przeszła granicę polską, gdzie została rozbrojona. Tak zakończyła się smutna, lecz bohaterska epopea słuckiego powstania.

Warto jeszcze nadmienić, że nie wszyscy powstańcy przeszli granicę i złożyli broń. Wielka ilość ukryła się w słuckich lasach i przez jeszcze rok niepokoiła ciągłymi napadami bolszewików.

Po stłumieniu wszelkich idej niepodległościowych, czołowi działacze Białorusini znaleźli się poza granicami swego kraju, starając się jeszcze bronić swojej ziemi, jednak bezskutecznie. Traktat Ryski położył całkowicie kres dążeniu do niepodległości i pociął przeszło 12 miljonów ludności białoruskiej na trzy części. Najwięcej przypadło Sowietom: 8 miljonów[1]), Polsce 3 miljony i około miljona Łotwie.

---

[1]) Ciekawe jest, z jakiego źródła czerpała materjał Encyklopedja Trzaski Ewerta i Michalskiego, podając, że „Białoruska Sowiecka Republika" liczy 1.634.000 mieszkańców, a wszystkich Białorusinów jest w/g. tejże Encyklopedji przeszło 6.000.000. Gdzie reszta, czyżby w Polsce? Kto kierował tak odpowiedzialną pracą?

Pa jakimś czasie starają się Białorusini jeszcze wypłynąć, zwołując w Pradze czeskiej wielki zjazd i wysyłając delegację do Ligi Narodów. Lecz i te zabiegi nie przyniosły żadnego skutku. Skończyła się wojna, a razem z nią i smutna historja niepodległościowa Białorusinów w czasie wielkiej zawieruchy światowej.

I znów lud białoruski zaczyna zwolna poddawać się niewoli, a cierpliwy z zasady, godzi się z losem, domagając się choć w części autonomji i zatapiając się w pracy kulturalnej. Częściowo udało się to zrobić w Sowietach, lecz w zamian za to najlepsi synowie tej ziemi, by uzyskać dla ludu większe prawa, ponieśli tą ofiarę i poddali się wpływom komunistycznym. Bolszewicy czynią to w dalszym ciągu, wszczepiając w szersze masy ideę komunistyczną, zapoczątkowaną na ich przywódcach. Lud białoruski jest naogół spokojny i religijny, to też niechętnie przyjmuje tę dawkę marksowskiej doktryny. Z nienawiścią patrzy na rządy komunistyczne, a tymbardziej wywłaszczenie nieruchomości i rusyfikacja razi Białorusinów najwięcej. Są oni bowiem, jak już powiedzieliśmy, spokojni, a przywiązani do garstki własnej ziemi, lubią wegetować choćby nawet w największej nędzy.

Lud białoruski takim już był, jest i prawdopodobnie zostanie zawsze, przywiązany duszą i sercem do swojego od wieków miejsca.

Traktaty, umowy i przemoc przekreśliły na długie może lata myśl o niepodległości. Tym bardziej, że wcielono ich pod trzy jednocześnie zabory, z których najgroźniejszym jest Rosja Sowiecka, gdzie mimo tak wielkiej liczebności, mimo, że są niezależni autonomicznie, jednak jest to tylko na papierze. Bolszewicy starają się rusyfikować wszelkie ośrodki kulturalne, wprowadzając różne poprawki nawet w podręcznikach szkolnych i literaturze białoruskiej. Rusyfikacja płynie nie tylko przez kulturę, ale i drogą polityczną — przez szczepienie komunizmu. Białorusini nie łatwo poddają się tym wpływom. Dlatego też często są nieporozumienia między rządem sowieckim a działaczami białoruskimi, z których bardzo wielu jest już zesłanych na wyspy, skąd nie wolno im wrócić na terytorjum swego narodu, lub też rozstrzelanych.

Wielokroć chłopi próbowali burzyć się przeciw uciskom na swych ziemiach, jednak dotychczas nie mogą osiągnąć żądanych i należnych im praw. Komunizm silnie dzierży władzę w karbach i nie daje możności rozwoju.

W roku 1925/6 bolszewicy na szerszą skalę poczęli prowadzić agitację komunistyczną. Agitacja ta przeprowadzona była i wśród Białorusinów, zamieszkałych w Polsce. Komunizm przedarł się przez granicę i skrył się pod płaszczem zorganizowanej wówczas „Białoruskiej Włościańsko-Robotniczej Hromady“, której organizatorami byli białoruscy posłowie na Sejm Polski z Bronisławem Taraszkiewiczem na czele.

Organizacja ta była już bardzo silna moralnie i materjalnie i liczyła przeszło 100 tysięcy członków, mając wojewódzkie, powiatowe i gminne placówki, t. zw. „hurtki“, z centralą w Wilnie.

Powiew wpływów komunistycznych wzmagał się. Rzecz jasna, że nie chodziło Sowietom o dopomożenie Białorusinom, lecz tylko zrobienie zamieszania wewnętrznego, skomunizowanie większości białoruskiej, po czym niewątpliwie staraliby się oderwać ziemię białoruską od Polski i przyłączyć do Rosji. Działacze białoruscy nie widzieli w tym złych celów i nie rozumieli, że Sowiety niosąc pomoc, niosą zarazem i jarzmo dla ludu białoruskiego a wybitniejszym jednostkom zsyłkę.

Rząd Polski widząc niebezpieczeństwo dla siebie, począł pilnie śledzić prace „Hromady“ i dostrzegł, że odbywają się one pod wpływem komunizmu i jego kierunkiem. Początkowo tylko nieliczne jednostki zatrzymano i osadzono w więzieniach; kiedy i to nie pomogło, wtedy w nocy z 15 na 16-go stycznia 1927 r. na całym terytorjum województw wschodnich poczyniono rewizje i zatrzymano wszystkich przedniejszych działaczy.

Organizacja została rozwiązana. Tysiące osób poszło do więzień, duch jednak wyzwoleńczy pozostał. „Hromada“ zostawiła po sobie wielki ślad, a lud białoruski uświadomiła narodowo szeroko, lecz z braku organizacyj politycznych na tych ziemiach wzięli się do pracy nad rozwojem swej kultury, zawiązując stowarzyszenia o tym charakterze, które jednak w r. 1937 zostały niemal wszystkie rozwiązane.

Rozwiązania te należy uważać za niekorzystne nie tylko dla ludu białoruskiego, ale i dla Polski ze względu, że, jak wiadomo, Białorusini, stanowiący odrębną narodowość, z braku organizacyj macierzystych, legalnych, będą tworzyli t. zw. „podpolle“, względnie przygarną ich organizacyjnie ci, którzy będą przyrzekać im większe narodowe prawa. A grunt ten dla posiewu wrogich Rzeczypospolitej Polskiej organizacyj jest bardzo podat-

ny, gdyż lud białoruski przez niższych funkcjonarjuszy, spełniających na tych ziemiach funkcje urzędnicze, jest gnębiony i uważany za ich parobka, a jednostki, nie wyrzekające się białoruskości, przez wyżej wspomnianych nazywane są komunistami. I taki Białorusin, choć nie wie co to znaczy komunista, stara się jednak dociec, uważając, że skoro go nazwał tak urzędnik, więc musi to być dla niego coś, gdzie może znaleźć rzekomą ulgę.

Więc nic dziwnego, że te, rzec można „Dziewicze lasy" zmuszone są po większej części przez czynniki urzędujące i braki narodowych kulturalnych organizacyj szukać ukojeń wśród obcych agentur komunizmu, a nawet, jak dało się zauważyć ostatnio i hitleryzmu. Niezdrowo to dla ludu białoruskiego i niebezpieczne także dla Polski.

Jeszcze bardziej ciekawym zjawiskiem okazało się to, że kiedy rozwiązano „Hromadę", wielu z działaczy kryjąc się przed odpowiedzialnością wobec władz polskich, przeszli granicę pod skrzydła swej protektorki, gdzie początkowo byli chętnie przyjęci. Zostali tam jednakże otoczeni ścisłą obserwacją. Kiedy i tam zaczęli uprawiać w dalszym ciągu działalność narodową, wtedy bolszewicy zrozumieli, że ci „goście" są i dla nich elementem niebezpiecznym, na którego lojalną współpracę rząd liczyć nie może. Wprawdzie częściowo osiągnęli swój cel i skomunizowali niektóre jednostki, lecz w porównaniu z włożonymi kosztami okazało się to znikome. Zaczęli więc tępić ich natychmiast zsyłając na wyspy, a energiczniejszych karać śmiercią, co jest w Sowietach tak bardzo powszechne.

W takim stanie rzeczy Białorusini tam i ówdzie próbują organizować się, próbują domagać się praw im należnych. Próbują stanąć na równi z innymi słowiańskimi narodami i pretensje te musimy uznać im za słuszne, albowiem nie jest to element napływowy, jak Żydzi, ale osiadły od wieków na swej ziemi, mający z dawien dawna swoją kulturę i tradycję. Lecz delikatność, spokojna ich psychika i nader niski poziom uświadomienia narodowego osłabia im działalność niepodległościową.

Piotr Łastówka.

Przyp. Redakcji. Powyższy artykuł zamieściliśmy bez poprawek gramatycznych i stylistycznych dla zachowania oryginalności i świeżości stylu, a przez to poniekąd i treści. Autor jest Białorusinem i włada wprawdzie językiem polskim biegle w mowie i — jak z powyższego widać — także i w piśmie, ale

łu z pewnemi, zrozumiałemi odchyleniami, których nie chcieliśmy umyślnie polerować.

Nie zawahaliśmy się ani na chwilę w kwestji zamieszczenia tego artykułu, chociaż treść jego nie wszędzie jest dla Polaków pochlebna. Ale chodzi nam właśnie o przedstawienie czytelnikom naszym rzeczywistej, nie sztucznie podrobionej, mentalności i dążeń lojalnie wobec Polski usposobionego Białorusina. Jest to dziś tem potrzebniejsze, że z pewnych stron usiłuje się u nas istnienie narodu białoruskiego jakgdyby zatuszować, w naiwnem mniemaniu, jakoby w obecnej epoce powszechnego uświadomienia narodowego na całym świecie było możliwem kilkunasto-mioljonowy naród przemilczeć lub sztucznie zasymilować.

„Upowszechnienie własności prywatnej"

Od szeregu miesięcy znajdujemy w różnych gazetach, przemówieniach publicznych, a niekiedy i radjowych tajemnicze zapowiedzi grożącej społeczeństwu polskiemu „gruntownej reformy ustroju społeczno - gospodarczego". Nikt jednak dotąd nie uchylił nawet rąbka zasłony, na czem ta groźna reforma ma właściwie polegać?

Domyślać się tylko można, że zbiedzony już i tak naród polski ma podledz jakimś nowym, przymusowym, cudacznym, ze wzorów zagranicznych zaczerpniętym eksperymentom. Że nieugaszone ambicje p. p. polityków różnego autoramentu i temperamentu, znęcających się od przeszło dwudziestu lat nad zaledwie wskrzeszoną ojczyzną i wszelkiemi warstwami jej obywateli, dobiorą się w jakiś specjalny, doktrynerski sposób do naszych dziurawych kieszeni, aby pod pretekstem „walki z bezrobociem" lub jakichś czysto profesorskich, światoburczych ględzeń ekonomicznych wyrwać nam ostatnie miedziaki. Banknotów bowiem i srebra, a nawet niklu już u wielu nie widać.

I nie pomyliła się opinja szerokich rzesz zarobkujących, z trudem płacących podatki, że chodzi o nowy, na wskroś demagogiczny i w głębszej istocie rzeczy bolszewizujący eksperyment, w którym podają sobie ręce przeróżne partje i ich organy prasowe, oczywiście dla najbliższych celów hasełkowo-wyborczych.

Chodzi w gruncie rzeczy o stopniowe zniszczenie prawa własności prywatnej i zastąpienie go tak czy inaczej pomyślanym kolektywem. Rzekłbyś — szał jakiś totalistyczno - kolektywistyczny opanował poczciwą Polskę. Katolicy i niedowiarki, konserwatyści i postępowcy, umiarkowani i radykalni, państwowcy i narodowcy — wszystko to jakgdyby sprzysięgło się razem na doprowadzenie do skutku socjalizacji naszego

ustroju. Argumenty i punkty wyjścia są oczywiście różne, ale ostateczny refren i cel ten sam: są nowe czasy, a więc Polska musi być „uspołeczniona", czyli porostu skomunizowana. Prywatne dobro ma być wspólnem dobrem — oto praktyczny rezultat tych wszystkich zabiegów, pokrywanych tylko różnorodną, nieraz bardzo skomplikowaną frazeologją.

Ale w polskich stosunkach nie wypada wszystkiego odrazu brutalnie odsłaniać, bo przyszłych wyborców mogłoby to speszyć i spotęgować partję socjalistyczną, która przynajmniej ma tę zaletę, że doktrynę upaństwowienia i kolektywizmu od półtora wieku jasno i wyraźnie stawia. Nie bawi się w obsłonki. Nie oszukuje religijno-burżuazyjną frazeologją. Stąd — śmiało przyznać trzeba — że etycznie bez żadnej wątpliwości wyżej stoi od tych wszystkich obleśnych polityków burżuazyjnych, którzy niby stoją po stronie prawa własności prywatnej, a w grucie rzeczy w obrzydliwy sposób podważają je i kruszą, wzywając na pomoc najcudaczniejsze argumenty populacyjne, cytaty z dzieł wszystkich mędrców świata, a nawet naginając encykliki papieskie do sprytnych celów mnożenia zwolenników partji i przygotowywania sobie demagogicznych haseł na najbliższe wybory. Ale, powtarzamy, trzeba odróżnić się od socjalistów delikatnem, stopniowem, a jakże machjawelskiem stawianiem sprawy! Niechże naiwny ludek polski nie spostrzeże się zbyt wcześnie, że ma zejść do roli bydlęcia roboczego w ustroju niewoli społecznej.

A jak się to robi, tego jaskrawy, bijący w oczy dowód przyniósł nam jeden z czołowych artykułów „ABC", naczelnego organu ultra-patrjotycznego ruchu narodowo-radykalnego, pod nagłówkiem „Własność prawdziwa i fałszywa" z dn. 12-go stycznia.

Po wstępie, usiłującym czerpać autorytet dla artykułu z encyklik papieskich i z orzeczeń Rady Społecznej przy Prymasie Polski, pisze autor:

„Aby nie błądzić w poszukiwaniu słusznych form własności prywatnej, ruch narodowo-radykalny, poszukując istoty tego zjawiska — gospodarczo-społecznego — określił, że istotą własności prywatnej jest nie tylko korzyść gospodarcza, płynąca z posiadania, ale związek psychiczny pomiędzy jednoską a jego własnością. Ten związek psychiczny warunkuje godziwe użytkowanie własności z otoczeniem i szereg innych ważnych zjawisk natury społecznej.

„Upowszechnienie własności — wobec braku dóbr do podziału — dokonuje się nie tylko przez posiadanie własnego warsztatu pracy, ale przez udział w warsztacie zbiorowej pracy. Taką formą własności jest uspołecznienie fabryk. Za taką formę upowszechnienia własności niektórzy politycy chcą również uznać spółdzielnie handlowe. Jednak pomiędzy dwoma tymi typami własności uspołecznionej zachodzi bardzo duża różnica.

„Przy pracy wytwórczej w fabryce własność społeczna — jako forma zastępcza własności prywatnej — spełnia warunek związku psychicznego. Pracownik, którego dochód jest związany bezpośrednio z wydajnością jego pracy w jego dziele, przy jego warsztacie — czuje bezpośrednio przez pracę twórczą swój związek z warsztatem pracy. Inaczej jest przy spółdzielni handlowej. Udziałowiec spółdzielni nie ma bezpośredniego związku z warsztatem pracy. Ba, nawet pracownik handlowy w spółdzielni jest pośrednikiem, nie twórcą, a w każdym razie nie ma żadnej łączności psychicznej z warsztatem pracy. Staje się więc on urzędnikiem, nie zaś współwłaścicielem spółdzielni. Zresztą, gdy przy wielkich zakładach fabrycznych warunki techniczne uniemożliwiają rozdrobnienie, w handlu spółdzielnie mogą być zastąpione przez prywatne przedsiębiorstwa.

„Upowszechnienie własności — to zasadniczy warunek sprawiedliwości społecznej. Dążąc jednak do spełnienia tego koniecznego warunku, musimy pilnie strzec, aby nie budować form gospodarczych, któreby ten warunek spełniały tylko pozornie, nie wprowadzając koniecznych, istotnych zmian".

Aha — teraz już wiemy! Cała ta, w formach bardzo delikatna, wielce uczonymi argumentami poparta bolszewizacja ustroju naszej biednej ojczyzny ma nosić eufemistyczną nazwę „upowszechnienia własności", niby niezbędnego „wobec braku dóbr do podziału"!!!

A cóż to jest to górnolotnie brzmiące „upowszechnienie własności"? Czytamy dalej: „uspołecznienie fabryk". Brawo „Towarzysze!" No, człowieka prawdziwie wykształconego i doświadczonego nie powinno nic dziwić na tym padole płaczu. Polacy uważają się (rzecz inna, czy są naprawdę?) za naród słowiański, a więc miękki, charakterem słaby i nader pohopny da papuziego naśladownictwa wszystkich bzdur, które pierwszy lepszy zagranicznik wymyśli. Wymyślono na zachodzie socjalizm, a zrealizowano go na wschodzie w postaci pseu-

do-komunizmu i to na „serdecznem, bratniem" słowiańskiem podłożu. Jakżeby „istynny Paljak" nie przejął się prędzej czy później atmosferą bratnio - słowiańską białokamiennej matuszki Moskwy i to tembardziej, że przecież i w „cywilizowanej Europie" różne Blumy wdrożyły niezgorzej od Bolszewików akcję zmiażdżenia jednostki i własności prywatnej!

Tylko, że rosyjski mużyk robi to w oceanie krwi, hitlerowski kapral pruski komendą „Stillgestanden!" — miękki polski ideowiec „podchodzi do zagadnienia" przez uniwersyteckie, ekonomiczno - społeczno - filozoficzne frazesy, z których sklecony został także i wyżej zacytowany program ruchu narodowo - radykalnego w Polsce.

Niech nikt nie sądzi filisterskim obyczajem partyjno - politycznym, że mamy coś przeciwko dziennikowi „ABC". Nic przeciwko niemu nie mamy, bo ostatecznie wolno każdemu obywatelowi i każdej gazecie głosić swe t. zw. zapatrywania polityczne. Wszak codzień głoszą je różne polskie gazety, różni mówcy wiecowi i różni parlamentarzyści — a jednak nie zabieramy w tych sprawach głosu. Jesteśmy za swobodą. Wolnoć Tomku w swoim domku.

Ale nie wolno nam milczeć wobec jawnego, bezdyskusyjnego szerzenia doktryny kolektywistycznej w szacie ultrapatrjotycznej i w oparciu o rzekomą tendencję encyklik papieskich, jak to czyni „ABC". Gdyby to samo pisał „Robotnik", nie wtrącilibyśmy ani słowa. Bo, że socjalista szerzy pod różnemi formami uspołecznienie, upaństwowienie i w rezultacie kolektywizm, to nic dziwnego. Leży to logicznie w jego doktrynie, fachu i celach. Ale rzecz inna, gdy nadużywając autorytetu Watykanu i patrjotyzmu polskiego, szerzy takie rzeczy w Polsce naczelny organ ultra - patrjotycznego, ultra - nacjonalistycznego ruchu, jakim mianuje się dziennik „ABC".

Tu już prawdziwy — nie zdawkowo dziennikarski — obowiązek publicystyczny na wyższym poziomie dyktuje nam Redakcji tego dziennika przeciwstawić stanowczo poważne ostrzeżenie: Panowie Nacjonaliści, baczcie pilnie, gdzie Polska się kończy, a gdzie zatruta, niezmiernie podstępna atmosfera bolszewickiego wschodu i pruskiego totalizmu zaczyna.

Oświadczamy uczciwie, że Redakcji „ABC" o żadną złą wolę nie posądzamy. Wręcz przeciwnie, czytując pilnie ten dziennik, konstatujemy, że jest pełen najlepszej woli. Ale zważcie, panowie, że polityka — w głębszem tego słowa znaczeniu — to nie bagatela, na którą stać nawet bardzo wprawnego dzien-

nikarza, a nawet wprawnego przywódcę partji lub promotora chwilowo pomyślnych wyborów. Polityka — a zwłaszcza polityka w tak niezmiernie eksponowanem państwie, jakiem jest Polska — to głęboka i poważna wiedza, na której zęby można sobie wyłamać przez długie lata, zanim się ją posiędzie. Lada maturę czy doktorat, czy egzamin szkoły dziennikarskiej można przebyć z łatwością, ale stokroć trudniej nabyć prawdziwej wiedzy politycznej. A wiedza polityczna polega przedewszystkiem na głębszej umiejętności wnioskowania z przyczyn na właściwe skutki.

Jeżeli więc Polak-patrjota prawi — bez względu na argumenty — o rzekomej konieczności „upowszechnienia własności prywatnej' lub o „uspołecznieniu fabryk", to radzimy mu szczerze przestudjować — dokładnie przestudjować — obszerne wskazania szeregu Zjazdów międzynarodówek komunistycznych, a zwłaszcza słynnego Zjazdu VII-go tejże międzynarodówki, gdzie mowa o tem, jak to szerzyć należy w chrześcijańskich społeczeństwach zatrutą atmosferę kolektywizmu, przy uwzględnianiu patrjotycznych momentów w każdem danem państwie i przy starannem ukrywaniu czerwonego sztandaru sierpa i młota, wykorzystując przy tem niedostateczną świadomość patrjotów w każdem kraju.

Uważna lektura źródeł bolszewickich przyda się z absolutną pewnością redakcjom różnych czołowych polskich dzienników, mających najlepsze intencje, ale niedość świadomych trującej fali gazów moskiewskich, której Polska od dwudziestu lat jednak podlega.

„Nasza Przyszłość" nie ma i nie miała nigdy ani jednej sekundy wątpliwości między pojęciem prywatnej własności „prawdziwej i fałszywej", co Redakcja „ABC" zamieściła w nagłówku swego cytowanego artykułu. Wśród perfidnego chaosu bolszewickich, neopogańskich i żydo-masońskich pojęć, rzucanych po wojnie światowej wśród moralnie osłabionych narodów, trzyma się „Nasza Przyszłość" bezkompromisowo, bezdyskusyjnie nakazów Dekalogu: Nie kradnij — Nie pożądaj ani wołu, ani osła, ani sługi, ani służebnicy, ani żadnej rzeczy, która jego (bliźniego) jest.

I ten jasny, wyraźny, normujący ustrój świata po wszystkie czasy nakaz Boży, w który bez dyskusji wierzymy, jest alfą i omegą naszego światopoglądu na sprawy społeczno-gospodarcze. Wszystko inne jest kapitulacją wobec talmudystyczno-bolszewickiej doktryny Marksa. I żeby nam arcysprytną tę dok-

trynę osłaniano najpiękniejszymi biało-amarantowymi sztandarami „nowoczesnego" patrjotyzmu polskiego i uczoną frazeologją wszelakich „wybitnych" ekonomistów i polityków, to my twardą pięścią hukniemy każdemu w stół i wyrąbiemy mu prawdę w oczy: Jesteś mimowolnym, podświadomym szerzycielem doktryny Marksa!

Bo owa, wyżej wspomniana umiejętność wiązania przyczyn i skutków uczy wyraźnie, że prawo własności prywatnej — bez żadnego względu na ilość mieszkańców oraz industrjalizację kraju — albo należy integralnie przyjąć, albo integralnie odrzucić.

W pierwszym wypadku będziemy Polakami i katolikami, w drugim niewolnikami doktryny niewoli społecznej, a w nieuchronnem następstwie i obcej politycznej. Wszystko, co pośrednie, to bezwartościowe frazesy i zawracanie głowy.

A umiejętność wiązania przyczyn i skutków uczy również w tym wypadku, że wszelka tendencja do „upowszechnienia własności", czy do jej „uspołecznienia" pociągnąć musi za sobą odrzucenie autorytetu Boskiego i ustroju rodziny. Wszak dość chyba mamy już doświadczenia, że jedno, drugie i trzecie stanowi wszędzie i zawsze nierozerwalną całość. Tu wszelki kompromis, czy eklektycyzm są wykluczone. Kto raz dobrał się do prawa materjalnej własności prywatnej, ten musi w konsekwencji zniszczyć i prawo prywatnej własności duchowej, a więc jednostkę, czyli duszę, a w konsekwencji wyeliminować ostatecznie ze swego programu społeczno-politycznego Boga i rodzinę. Na ich miejsce ufundowane zostanie jakieś pogańskie, talmudystyczno-materjalistyczne pojęcie narodowego neopogaństwa lub bolszewickiego etatyzmu — i na to żadne frazesy dziennikarskie, ani najuczeńsze wykłady profesorskie nie pomogą.

Prawo własności prywatnej jest jasne i wyraźne od conajmniej trzech tysięcy lat, jeżeli nie od dawniejszych jeszcze czasów. Tu niema co mędrkować, filozofować i politykować, zasłaniając się jakiemiś rzekomemi wymaganiami XX-go wieku. Demagogja socjalna spowodowała kryzys gospodarczy i miażdżący etatyzm na całym świecie — i ten kryzys chce się teraz usuwać doktryną społecznego niewolnictwa. Absurd, bolszewizm! Kryzys usunie się stopniowo tylko wówczas, jeżeli państwo, partje polityczne i różni doktrynerscy uszczęśliwiacze przestaną się raz nareszcie uszczęśliwianiem jednostki zajmować, dadzą jej święty spokój i pozwolą jej spokojnie zarabiać. Inne-

go sposobu niema! Twierdzimy to uczciwie, lapidarnie i nie wdając się w żadne akademickie lub demagogiczne dygresje.

Jeżeli do mnie coś należy, to jest moje i wara ci, ziomku lub władzo, do tego się mieszać. Mój los odemnie zależy, a nie od partji, redakcji gazety lub grupy ambitnych doktrynerów, wiecznych kandydatów na posłów i ministrów — wiecznych szerzycieli społecznej nędzy i niepokoju. To jest jedynie słuszne i uczciwe pojęcie prawa własności. I niema więcej o czem gadać.

Pisząc to wszystko, nie mamy bynajmniej na celu drobnostkowego atakowania redakcji jakiegoś pisma wzorem pospolitych partyjno-prasowych rozgrywek. Rzeczony artykuł „ABC" stanowi w tej chwili dla nas tylko przypadkową, aktualną odskocznię, aby rozprawić się z generalną, podświadomą bolszewizacją stosunków, która ogarnia kraj nasz daleko dotkliwiej, niż byłyby to wstanie uczynić masy gazów trujących wszystkich armji świata. Obowiązkiem naszym — prawdziwym obowiązkiem patrjotycznym — jest zdecydowanie przeciwstawić się tej fali, choćby była poparta przez całą prasę i przez wszystkie uniwersytety. Nie damy zniszczyć indywidualnego prawa własności i żadne pojęcie nowoczesne dobra ojczyzny, czy dobra społecznego, czy rzekomego, błędnie interpretowanego nakazu religji nie zatrze nam jedynie słusznego drogowskazu: Nie kradnij!

A kraść nie wolno nietylko jednostce, ale tem mniej społeczeństwu, parlamentowi, ojczyźnie i nauce.

W kilkanaście dni po tem — więc niedawno — zamieściło „ABC" całkowite, bezsporne potwierdzenie swoich, w wyżej wymienionym artykule ujawnionych dążeń socjalizacyjnych, mianowicie w artykule, poświęconym stosunkom w naszym przemyśle węglowym. Artykuł ten, wykazujący opanowanie przemysłu węglowego w istotnie bardzo znacznym stopniu przez kapitał i kierownictwo żydowskie, zaopatrzony został nagłówkiem: Czas ostatni, aby uspołecznić kopalnie węgla!

A więc sprawa jasna. Ruch narodowo-radykalny, chlubiący się ultra-patriotyzmem i bijący z impetem w judeomasonerję w każdym, niemal bez wyjątku, numerze swego naczelnego organu „ABC", nie znajduje żadnego innego sposobu wyparcia żydowskiego kapitału i żydowskich dyrektorów z polskiego przemysłu węglowego, jak tylko przez socjalizację kopalń węgla!!!

Wiadomo, że podobne tendencje objawiają się i w innych państwach n. p. Anglji. Ale tam wysuwają je partje skrajnie lewicowe, a więc w Anglji stronnictwo Labour Party, identyczne mniej więcej z naszym socjalizmem. U nas czyni to ruch polityczny, firmujący się gorącym patrjotyzmem i katolicyzmem. Ładny patrjotyzm i katolicyzm!

Niechże Redakcja „ABC“ nie ma nam za złe, że w obronie prawdziwej polskości, ceniącej ponad wszystko prawo własności prywatnej i swobodę indywidualną, zwalczać będziemy daleko energiczniej podobne koncepcje marksowskie, ukazujące się na łamach pism narodowych i katolickich, niż w pismach socjalistycznych lub w jakichkolwiek przejawach prawdziwie bolszewickich. W tych ostatnich bowiem pomysły socjalizujące nie dziwią i samą swą firmą socjal-bolszewicką działają odstraszająco, podczas gdy te same pomysły na łamach prasy, niby bojowo antymarksowskiej, chlubiącej się rozgłośnie patrjotyzmem, muszą z biegiem czasu szerzyć moralno-ustrojowe zniszczenie i groźne wydać rezultaty w polskiej psychice.

Jan Bobrzyński.